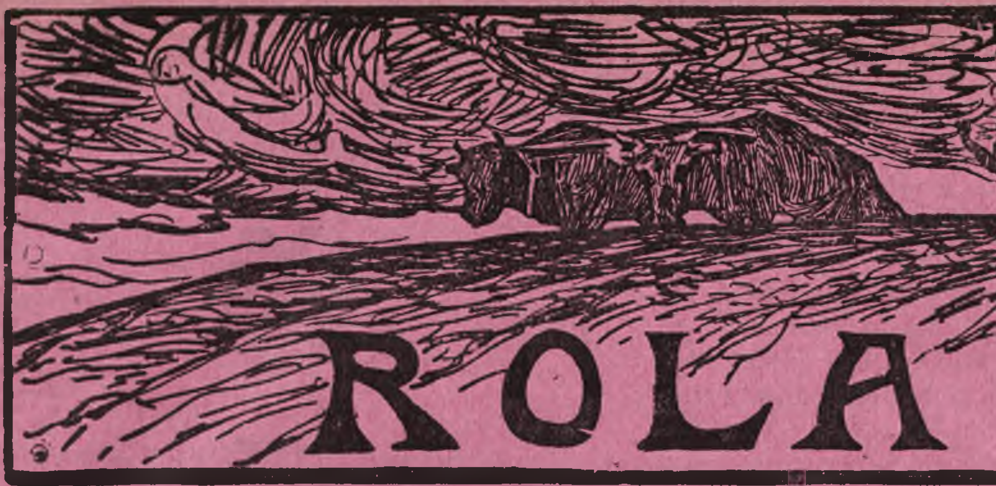
Numer 51. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 16 Grudnia 1928



ROLA

KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Oszczędny gospodarz

kupuje **węgiel** najtaniej w składzie

Gwarectwa węglowego państwowych kopalń

w Brzeszczach

W KRAKOWIE

Ul. KURNIKI 9. Ul. PAWIA 16

TELEFON 1435.

Jednorazowe zakupno przekona o dobroci i taniości węgla.

ZAKŁAD POGRZEBOWY

»AETERNITAS«

Kraków, ulica Mikołajska L. 14.

Rok założenia 1892. Telefon 40-47.

obecnie pod nowem kierownictwem urządza pogrzeby od najskromniejszych do najwspanialszych, czyniąc dla mniej zamożnych ustępstwa. Udziela kredytu. Przeprowadza ekshumację i przewozy zwłok do wszystkich krajów. Posiada na składzie **wielki wybór trumien i wieńców** sztucznych oraz metalowych.

Bandażysta

Specjalista fachow. od lat 40

A. M. MIRKIEWICZ,

Kraków, Mostowa L. 4.

Poleca bandaże przepuklinowe bardzo praktyczne i skuteczne pod gwarancją. Nowość! Bardzo lekkie i bez dolegliwości w noszeniu. Dla dzieci małych specjalność niebywała. — Ostrzega się przed blagierami i niefachowymi, którzy narażają na przykrości!

Praktycznych objaśnień udzielam bezpłatnie.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

BLEDNICĘ

BRAK KRWI USUWA

Mra KRZYSZTOFORSKIEGO

WINO CHINOWO-ŻELAZISTE

na maladze hiszpańskiej

reguluje słabości kobiece, dodaje siły, podnieca apetyt, **przyczynia krwi, położnicom zadziwiająco szybko przywraca siły,** a specjalnie polecane przez lekarzy w chorobach płucnych, po przebytych ciężkich chorobach, przy osłabieniu ogólnem, oberwaniu, braku ochoty do życia, nudnościach, zawrotach głowy, wyczerpaniu fizycznem i umysłowem. Do nabycia w aptekach i drogerjach, do miejscowości gdzie niema na składzie można zamawiać wprost z fabryki we własnym interesie, by ustrzec się przed podróbkami, — **żądać wyraźnie**

Mra KRZYSZTOFORSKIEGO

WINO CHINOWO-ŻELAZISTE

Naśladownictwo energicznie odrzucić!

Flaszka mniejsza z przesyłką zł. 3.50, 5 flaszek 13 zł.

Flaszka podwójna z przesyłką zł. 5.—, 5 flaszek 22 zł.

Fabryka chemiczna Mr Krzysztoforski, Tarnów 8.

Płótna lniane i pół-lniane

na wszelkie bielizny: Chusteczki, Ręczniki, Ścierki, Chodniki, Materje. Cajgi-Struks b. silne i t. p. lepsze wyroby, poleca:

PRZEMYSŁ TKACKI J. Jórasz, Korczyna pow. Krosno

(Na próbki nadesłać 2 zł., napisać, z których tkanin próbki potrzebne. Zamawiający towary otrzyma premje w dodatku).

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120. Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1·10 zł.

Okładki na „Rolę“ **na r. 1928 są gotowe po nadesłaniu 2 zł. 20 gr. wysyłamy.**

Nieoczekiwany efekt.

Do wiejskiej szkółki przybywa na wizytację inspektor.

Jest w najniższym oddziale i zadaje dzieciom najłatwiejsze pytania z rachunków.

— Ile razy mieści się dwa w czterech?

Powszechne milczenie zamiast odpowiedzi. Nauczycielka jest strasznie zakłopotana i speszona. — Chcąc przecież spowodować dzieci do odpowiedzi, poza plecami inspektora podnosi w górę dwa palce.

Na razie skutku niema żadnego. Gdy jednak nauczycielka podnosi swoje dwa palce po raz drugi i trzeci, jedno z dzieci odzywa się:

— Panie inspektorze, bo pani nauczycielka prosi wyjść na stronę!

Plama na słońcu.

(Rzecz dzieje się na cmentarzu.)

Mówca wyliczywszy wszystkie zalety i cnoty nieboszczyka, skończył swoją mowę temi słowy:

— Nieboszczyk unosi ze sobą do grobu szacunek i żal wszystkich obecnych tutaj żałobnych słuchaczy...

— I moje dziesięć dolarów, odezwał się ktoś z boku, mocno zasmucony.

Poradził sobie.

Uczony (do dyrektora muzeum): Pismo na tym papyrusie egipskim jest tak nieczytelne, że nie mogę go odczytać. Co z tem zrobimy.

— Niech to pan oznaczy poprostu jako receptę lekarską z czasów Faraonów.

Andrus.

Andrus pyta grzecznie pewnego przechodnia, która godzina.

— Za dziesięć piąta.

— To o piątej może mnie pan pocałować gdzieś.

I w nogi. Zaczepiony puścił się w pogoń lecz nie może go dogonić. Andrus przystaje na chwilę i woła:

— Panie, co się pan tak śpieszy? Jeszcze ma pan pięć minut czasu!

Także postęp.

— Moja córka uczy się śpiewu.

— Czy robi postępy?

—O tak — już się dwóch lokatorów wyniosło.

Do nabycia w Administracji „Roli“:

„FLIRT POLSKI“

nowe karty do gry towarzyskiej z numerami są najpiękniejszą i najwdzięczniejszą zabawą towarzyską, 40 kart z pouczeniem w futerale. **Zł. 1.**

LISTOWNIK DLA ZAKOCHANYCH

czyli podręcznik do pisania **listów miłosnych,** oświadczynowych, w sprawach małżeńskich oraz pięknych wierszyków na pocztówki. **Zł. 1.10.**

ŚPIEWNIK MIŁOSNY

zawiera: Pieśni i Piosenki miłosne, Weselne, Krakowiaki, Arje oper, Śpiewy i śpiewki ludowe, o miłości i kochaniu itp. w objętości 128 str. **Zł. 1.10.**

ZBIÓR POWINSZOWAŃ

na imieniny, zaślubiny, Boże Narodzenie, Nowy Rok, oraz zbiór **Poezyj do Pamiętnika,** zastosowany dla dzieci, młodzieży i dorosłych, w objętości 128 stron. **Zł. 1·—.**

WIELKI ILUSTROWANY

Sennik egipski

zaczerpnięty ze starych egipsko-arabskich dokumentów.

Zawiera 2.500 wykładów snów w alfabetycznym porządku, **90 rycin** ilustrujących sny, przewidzenia i zjawiska, **36 rycin kabały** słynnej wróżki Lenormand z Paryża. Objaśnienia o snach, przewidzeniach, wyroczniach, znaczeniach i zjawiskach. **Artonaneje, czyli sztuka wróżenia z kart,** z ręki, palca i czoła.

Powyższy sennik wraz z opłatą pocztową **1.50 zł.**

6 tomów powieści za 4 zł.

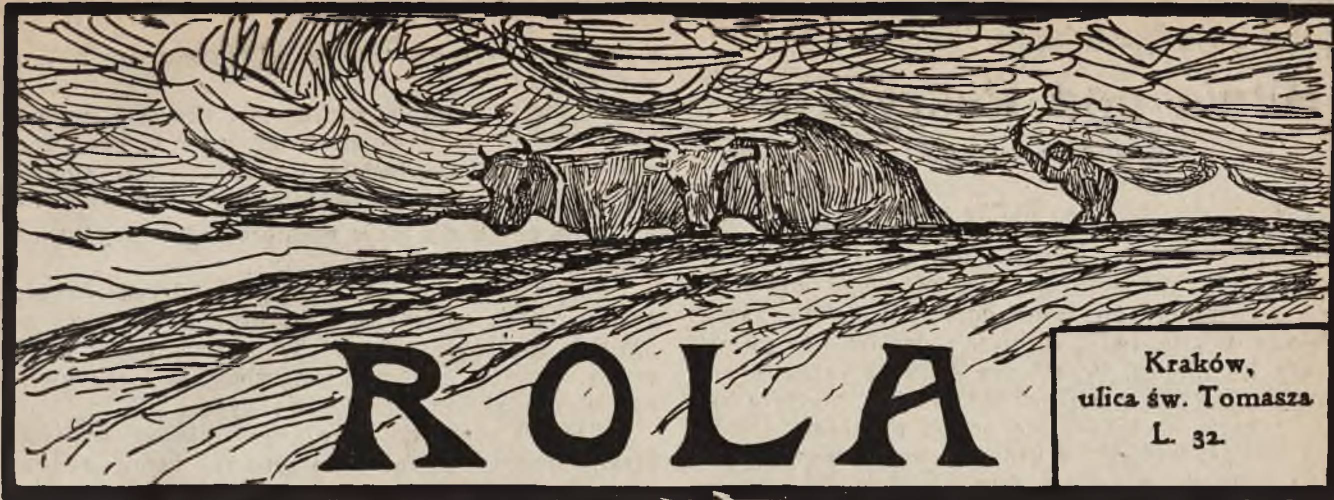
w objętości 600 stron druku.

1. **Andzia.** Oryginalna powieść współczesna.
2. **Miłość Śpiewaka.** Powieść z życia artystów.
3. **Baronówna.** Powieść.
4. **Kobieta z kociemi oczyma.** Powieść.
5. **Na hrabiowskim zamku.** Powieść.
6. **Narzeczona lotnika.** Powieść na tle współczesnych stosunków.

Powyższe 6 tomów powieści wysyła pocztą opłatnie za nadesłaniem zł. 4.—

Na wszystkie powyższe książki należytość prosimy nadesłać wprzód, gdyż za zaliczką drożej kosztuje.

Numer 51. Rok XI. Kraków, dnia 16 Grudnia 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., połrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Zgoda buduje niezgoda rujnuje.

Niema chyba na świecie większej cnoty, jak cnota miłości i jedności. A kto miłuje wszystkich bliźnich na świecie, bez względu czy oni mu źle czy dobrze życzą, ten ze wszystkiemi będzie żył zgodnie i nikomu skakał do oczu nie będzie. Bo gdzie jest miłość, tam musi być jedność i zgoda.

A zgoda, czyli ta wewnętrzna harmonja jest potrzebna nietylko w życiu rodzinnem, ale także, a może jeszcze więcej w życiu sąsiedzkiem i w pożyciu ogólnem wśród społeczeństwa.

Weźmy przedewszystkiem życie rodzinne: jeżeli mąż będzie, jak to mówią do Sasa, a żona do lasa, jeżli jedno drugiemu nie ustąpi, jeżeli będą wzajemnie wynajdywali u siebie wady, a milczeniem pokrywali zalety,to wówczas w takiej rodzinie nigdy dobrze nie będzie. A jeżeli nawet małżonkowie będą żyli ze sobą zgodnie, a synowie ich lub córki nie będą popierali ich usiłowań, to rodzina taka nigdy nietylko nie dojdzie do dobrobytu, ale nawet żadnego znaczenia nie zjedna sobie w gminie. W takim wypadku szkoda jest wielka, ale tylko szkoda dla owej kłótliwej rodziny, gdyż sąsiedzi przechodzą nad nią do porządku dziennego i z nią się zupełnie nie liczą.

Gorzej już jest, jeżeli sąsiedzi, mieszkańcy jednej gminy, że tak powiemy, za łby się włóczą. Tu już nietylko oni sami na tem źle wychodzą, ale cierpi wskutek tego cała gmina, a niejednokrotnie kłótnie ich wywierają swój zabójczy skutek i na kraj cały.

A już najgorzej jest, gdy zawiść wzajemna rozniesie się na kraj cały! Wówczas cierpią wszyscy: winni i niewinni. Zawiść ta powoduje powstawanie różnych stronnictw politycznych, mnożą się kluby i klubiki, obozy i oboziki, na czele których stają rzadko kiedy ludzie najgodniejsi, lecz najczęściej karjerowicze różnego rodzaju, którym najłatwiej łowić ryby w mętnej wodzie. Ci zaś, żeby się utrzymać na powierzchni życia politycznego, jeżdżą od wsi do wsi, zwołując wiece i zgromadzenia, ale zamiast na nich łagodzić przeciwieństwa, to je jeszcze podsycają, obawiając się, aby nie nastąpiła zgoda wśród dzieci jednej Ojczyzny, boby oni wtenczas nie mieli co robić.

Dlatego to mamy w Polsce tylu opiekunów ludu, którzy grają na naszych uczuciach, którzy nasze bolączki wyzyskują, aby przy tem rozognieniu, jakie oni sztucznie wywołują, mogli własną pieczeń upiec. I choć jest wiele jeszcze innych powodów, dlaczego u nas nie jest tak dobrze, jakby być powinno, to z wszystkich tych ten jest najważniejszy, że mamy zbyt dużo opiekunów, którzy zamiast koić nasze rany, to je jeszcze rozdrapują. Wszak ktoś tam kiedyś powiedział: „Boże chroń mnie od przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi sam sobie dam radę!"

Jeden fałszywy przyjaciel częstokroć więcej szkody przyniesie, aniżeli dziesięciu otwartych nieprzyjaciół.

I zaprawdę, gdybyśmy mieli mniej przyjaciół, byłoby u nas znacznie lepiej, gdyż wszyscy ci rzekomi przyjaciele nasi wnoszą pomiędzy braci, synów jednej matki Ojczyzny, tylko zawiść wzajemną, zaszczepiają jad w serca ludzkie, który trapi silny organizm społeczeństwa i sprowadza go coraz bardziej ku upadkowi. Och gdybyśmy się mogli otrząsnąć z nieproszonej opieki, gdyby zapanowała wśród nas jedność i zgoda, moglibyśmy imponować światu całemu, gdyż jest w nas moc przeogromna, której nawet piekło przezwyciężyćby nie zdołało. Dopóki jednak nie zrzucimy z siebie nieproszonej opieki, dotąd musimy się uginać pod jarzmem win własnych.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Bitwa pod Raszynem.

Powieść historyczna.

X.

Położenie Janka było straszne. W chwili, gdy zjawił się na skraju gąszczu leśnego i przerażony zatrzymał się, nie wiedząc, jak wydobyć się z tej matni, spostrzegły go zaraz kobiety i dzieci, które, uzbrojone w kije, baty, gałęzie, z dzikim okrzykiem pobiegły ku niemu. W tyle za sobą usłyszał trzask łamanych drzewek i widział już brudny, podarty kapelusz cygana, unoszący się ponad gąszczem i zbliżający się ku niemu. Wkrótce ujrzał straszną paszczękę buldoga, rozwartą szeroko, zbroczoną krwią biednego pieska, jak przeświecała pomiędzy gąszczem szeregiem ostrych zębów. Ze wszystkich stron zbliżano się ku niemu, otaczano go coraz węższym kręgiem. Za chwilę będzie otoczony, schwytany, zbity niemiłosiernie. Jeden tylko Romno stał opodal nieruchomy na swym koniu.

Janek, widząc, że już dla niego niema ratunku, postanowił uciec się pod opiekę cygańskiego króla.

— Ocal mię, panie! nie daj mnie bić! — zawołał.

Romno poważnie spojrzał na wieszającego się u jego nóg chłopca i widząc nadbiegającą z głośnym krzykiem bandę, podniósł do góry niewielki bat, który trzymał w ręku, świsnął nim w powietrzu i głosem donośnym, rozkazującym rzekł coś po cygańsku.

Banda zatrzymała się jak wryta. Wszyscy w odległości kilku kroków otoczyli dokoła króla i Janka i w pokornem milczeniu spoglądali na swego pana.

Przez chwilę trwało poważne milczenie w całej tej, tak niedawno wrzaskliwej bandzie. Nakoniec Romno podniósł głowę i, wskazując palcem na kobiety i dzieci, wyrzekł kilka słów. Natychmiast wiedźmy te i szkaradne bachury cygańskie cofnęły się i powdrapywały się na wozy, stojące w odległości jakich dwudziestu kroków na uboczu. Zostali tylko sami mężczyźni i ciągle w czerwoną płachtę odziana Mokryna. Owszem, była ona tak śmiała, że zbliżyła się do Romna i, wskazując swym chudym i czarnym, jak ziemia, palcem na Janka, coś poczęła rozprawiać swym krzykliwym, syczącym głosem. Romno słuchał jej z niewzruszoną powagą, a ona ciągle gadała, coraz głośniej, rzucając się dziwacznie, tak, że z głowy spadła jej czerwona płachta i ukazała jej włosy siwe, rozczochrane, rzadkie...

Janek, patrząc na to, drżał na myśl, że ta kobieta zapewne żąda, żeby go ukarano, żeby go wybito. I był prawie pewny, że do tego przyjdzie. Mimowolnie łzy mu potoczyły się z oczów, zawstydzony tem, otarł je zaraz, nie wiedząc, że Romno od niejakiego czasu patrzy na niego. W chwili, gdy Janek otarł łzy, król cygański przerwał Mokrynie jej długą rozprawę, wskazał jej ręką wozy z kobietami i dziećmi, i obrócił się do mężczyzn.

Mokryna umilkła, zarzuciła na głowę swą czerwoną płachtę, spojrzała jadowitym wzrokiem na Janka i wolno cofnęła się do wozu, na którym usiadła tak, jak poprzednio, z nogami na dół spuszczonemi. Romno tymczasem przemówił coś do cygana, który buldoga trzymał — i sam zawrócił konia i odjechał wolno, zostawiając Janka przed cyganami samego.

Ci zbliżyli się do niego, zdjęli mu płaszczyk, surducik... słowem, poczęli go rozbierać. Janek przerażony tem, myśląc, że go będą bili, zaczął krzyczeć, z płaczem zwracając się do odjeżdżającego króla cygańskiego.

— Panie Romno, zmiłuj się, nie daj mnie bić!

— Cicho bądź — mruknął jeden z cyganów — nikt cię tu bić nie będzie. Romno nie dał, choćby ci się należało z piętnaście dobrych batogów.

— A pocóż wy mnie rozbieracie? — spytał, uspokojony już nieco Janek.

— Bo nam się tak podoba — odrzekł drugi cygan — cóżeś ty lepszego od innych, że masz takie pańskie na sobie suknie! Te suknie pójdą dla naszych cyganiąt, a ciebie ubierzemy w łachmany, żebyś wyglądał jak prawdziwy cygan.

Zabrali mu jego porządne sukienki, włożyli na niego brudne, podarte łachmany, które Janek ze wstrętem wdział na siebie.

Skoro już wszystko było załatwione, banda wyruszyła w dalszą drogę. Cynga znowu stanął przy Janku, ale nie spojrzał nawet na niego i milczał jak zaklęty, choć nieraz przydarzyła mu się sposobność pomówienia. Zresztą sam Janek nie chciał narażać dobrego chłopca, do którego czuł żywą sympatję, na nową okrutną karę. Postępowali więc w poważnem i głębokiem milczeniu przez las, pełen starych drzew, ciągle skręcając na boczne, nieraz trudne do przebycia dla wozów drożyny.

Dla Janka podróż ta była niezmiernie przykrą i uciążliwą. Cyganie zabrali mu buciki i musiał iść boso, po kamieniach, drobnych kamykach i igłach sosen, co dla nieprzyzwyczajonego chłopca było męczarnią prawdziwą. Ale cóż było na to robić? Wszyscy cyganie, oprócz Romna, byli boso i Janek także, jako nowy cygan, musiał chodzić bez butów.

Szli długo, cały dzień, nie zatrzymując się prawie wcale — rzadko i na krótko tylko wychylając się z lasu. Na czele, na swym koniu, ciągle jechał samotny i milczący Romno. Mokryna za to nie spuszczała ani na chwilę oka z Janka i Cyngi, którzy postępowali przy sobie, nie otworzywszy ust przez cały dzień.

Janek czuł się ogromnie znużonym tą przykrą drogą, boso, śród lasu. Szczęściem, nad wieczorem banda zatrzymała się na prześlicznej polance, śród lasu, nad strumieniem, który toczył swe przeźroczyste, jak szkło, wody, po twardym gruncie, pełnym różnokolorowych kamyków. Rozłożono się tam, zapalono ognisko, ugotowano nędzną wieczerzę, poczem cała banda zasnęła — i Janek z nią. Obudziło go silne szarpnięcie. Roztworzył oczy i przy blasku księżyca, który oblewał swem srebrnem światłem całą polankę, ujrzał pochylonego nad sobą Cyngę. Wielkie oczy chłopaka były wlepione w Janka — na pół leżąc, na pół siedząc, Cynga, otulony przed chłodem nocy kwietniowej w swe łachmany, zdawał się czegoś pilnie nadsłuchiwać, nie spuszczając jednak ani na chwilę wzroku z Janka.

Ten ostatni, widząc to, chciał go już zapytać, czemu tak na niego patrzy, ale zaledwie roztworzył usta, gdy Cynga przyłożył palec do swych czerwonych, jak karmin warg, na znak milczenia — i dalej nadsłuchiwał uważnie.

Janek, zdziwiony niezmiernie tem zachowaniem się młodego cygana, przerażony jego tajemniczością ruchów, począł także oglądać się i słuchać. Ale nic nie ujrzał takiego, coby w nim wzbudzić mogło podejrzenie.

Nagle Cynga położył się i przypełzał do Janka. Oczy cyganowi świeciły się jak dwa djamenty, ja-

kimś gorączkowym blaskiem. Przytknął usta do ucha zdziwionego chłopca i począł szeptać:

— Nie rusz się i nic nie mów, najmniejszy szelest może kogoś zbudzić... słuchaj mnie uważnie, co ci powiem.

Umilkł na chwilę, poczem mówił:

— Wiesz, co oni myślą z tobą zrobić? Oto idą, żeby cię wydać w ręce Austrjaków, którzy im dobrze zapłacą. Myślę, że niedaleko musimy być od Austrjaków, bo słyszałem, jak Romno mówił wieczorem do Dajgi, tego, co mnie wczoraj bił, żeby cię pilnował dobrze, bo jutro zapewne spotkamy się z wodzem austrjackim. I cóż ty na to? Jeżeli chcesz odpowiedzieć, to przyłóż usta do mego ucha i mów!

Janek zrobił tak, jak mu kazał Cynga i rzekł, przestraszony okropnie tem, o czem przed chwilą się dowiedział.

— Zmiłuj się, Cynga, cóż ja mam robić... chyba znowu uciekać?... ale ten przeklęty buldog...

Zaiskrzyły się oczy Cyngi, pochylił się do ucha Janka i szepnął:

— Tylko uciekać... musisz uciekać, innego ratunku niema. Romno mówił, że Austrjacy dadzą za ciebie dużo złota i powieszą cię zaraz. Brrr! — otrząsnął się — brzydka to śmierć na szubienicy. Więc musisz uciekać. Teraz jest dopiero północ, masz przed sobą kilka godzin nocy...

Odetchnął na chwilę, oglądając się dokoła trwożliwie, poczem, uspokojony, mówił:

— Ja ci powiem... ja cię bardzo kocham — i ja z tobą ucieknę. Nie ruszaj się! — szepnął, wstrzymując siłą Janka, który poczciwemu cyganowi chciał się rzucić na szyję — nie ruszaj się, bo nas zdradzisz... Więc i ja z tobą ucieknę, ale pod warunkiem, że mię będziesz ślepo słuchał we wszystkiem. Ty nie znasz cyganów, gdybyś ich znał, nie byłbyś dziś rano tak głupio uciekał... Ale ja znam, ja wiem, jak to robić trzeba — uciekniemy i to zaraz.

— A buldog! — szepnął Janek.

— Buldog! — zasyczał śmiechem Cynga, pokazując białe i ostre swe zęby — buldog już nie żyje. Przed godziną dałem mu chleba z trucizną... zdechł w mgnieniu oka.

Cynga nachylił się znów do ucha Janka i szepnął:

— Posuniesz się, jak będzie można najwolniej i najciszej, na czworakach, a lepiej, pełzając i zatrzymując się co chwila, ku strumieniowi. Przez strumień, który jest płytki, przejdziesz na drugi brzeg. Tam już jest las i ciemno — trudno cię będzie zobaczyć. Usiądziesz pod drzewem i będziesz czekał na mnie. Ja niedługo przybędę. Zrób, jak ci mówię i ruszaj w imię Boże!

Położył się na ziemi ostrożnie, obejrzawszy się dokoła i dał znak ręką Jankowi. Ten przeżegnał się i począł pełzać na brzuchu.

XI.

Szczęściem, księżyc schował się właśnie za chmury i należało z tego korzystać, choć było jeszcze na tyle widno, że łatwo było można rozpoznać wszystkie przedmioty na polanie. Nie była więc bezpieczną ta ucieczka, zwłaszcza dla Janka. Z biciem serca posuwał się na brzuchu, zatrzymując oddech w sobie i starając się jak najmniej robić szelestu.

Tak pełzając powoli, Janek dostał się szczęśliwie do potoku, Zsunął się ostrożnie z niego i, zasłonięty mocno wystającym brzegiem, oraz krzakami łoziny, rosnącej nad nim, usiadł na chwilę na wilgotnym piasku, żeby spocząć nieco.

Ale nie można było długo odpoczywać — zresztą Janek sam czuł to dobrze, że im dalej będzie od obozu cygańskiego, tem będzie bezpieczniejszy. Pochyliwszy się, puścił się wbród przez potok.

Dostał się nakoniec do drugiego brzegu. Przebiegłszy około pięćdziesięciu kroków, wciąż nad brzegiem potoku, zatrzymał się naprzeciw tego miejsca, gdzie z drugiej strony kończyła się polana i poczynał się równie ciemny i gęsty las, jak i na tym brzegu. Stąd, ukryty w cieniu, czując się do pewnego stopnia bezpiecznym, począł przyglądać się obozowisku cygańskiemu, które przy blasku księżyca, w oddali, w niepewnych i zamglonych rysowało się kształtach. Usiadł sobie pod rozłożystym dębem i, otulając się w zmoczone łachmany, usiłował się rozgrzać, nie spuszczając ani na chwilę oka z obozu cygańskiego.

Przez jakiś czas panowała w obozie taka sama jak dotąd, cisza i spokój — i Janek już myślał, że Mokryna poszła położyć się na swe legowisko pod wozem, nie obejrzawszy wprzódy obozu. Omylił się jednak. Albowiem, kiedy już winszował sobie szczęśliwej ucieczki i nadsłuchiwał, czy nie rozlegnie się umówiony między nim a Cyngą głos kukułki, nagle, zamiast tego głosu, dobiegł jego uszów z obozu donośny krzyk Mokryny. Poznał jej głos chrapliwy i zerwał się na równe nogi, wytężając wzrok, czy czego nie dostrzeże.

Jakoteż dostrzegł najprzód, że ognisko, dotąd ledwie tlejące śród obozowiska, podsycone widocznie suchemi gałęźmi, buchnęło wielkim płomieniem i obrzuciło blaskiem ponure i ciemne drzewa lasu. Koło ogniska widział wyraźnie kręcące się czarne sylwetki cyganów, kobiet i dzieci, gorączkowo biegające tu i tam, usłyszał gwar, tętent koni, krzyki, ponad którymi rozlegał się donośny rozkazujący głos Romna. Potem ujrzał, jak kilka kobiet chwyciło zapalone łuczywa i, otoczone cyganami na koniach, pod przewodnictwem starej Mokryny, ruszyły w kierunku potoku. Wkrótce jego wody zaczerwieniły się purpurą ognia, cały ten tłum stanął nad brzegiem i pochylony zdawał się czegoś szukać na ziemi. Janek widział wyraźnie wychudłą, wysoką postać Mokryny, która mówiła coś i wskazywała ręką na rzekę. Zaraz potem kilka kobiet z pochodniami przeszło w bród potok, a za niemi kilku cyganów na koniach. Zatrzymali się na przeciwnym brzegu i znowu upatrywali śladów. Janek widział, jak, pochyliwszy krwawo gorejące łuczywa, kobiety starannie opatrywały ziemię, podobne wśród ciemności nocnych, krwawo oświecone, do jakichś duchów.

— Nie mam tu czego siedzieć — zmykajmy! — szepnął i wszedł do wody.

Ale tu czekało go nowe niebezpieczeństwo. Zrazu była woda dość płytka, ale dalej ku środkowi uczuł, że mu gruntu ubywa pod nogami. Przytem łuczywa rozbiegających się kobiet poczęły rzucać na wodę daleki czerwony odblask i Janek słusznie się obawiał, żeby go nie spostrzegły bystre oczy cyganów. Chcąc tego uniknąć i zarazem szybko przedostać się na drugą stronę, gdyż zimno mroziło mu członki, posunął się naprzód nieostrożnie i wpadł widocznie w jakiś dół, gdyż woda go całkiem pokryła. Na chwilę, ten nowy, niespodziewany wypadek przeraził go, że leci w jakąś bezdenną, bezgraniczną przepaść... Ale wkrótce odzyskał energję. Westchnął w mrocznej głębi potoku do Boga i przypomniawszy sobie, że umie pływać, rzucił się naprzód i krótce wydostał się na wierzch wody. Tutaj jednakże, czy

prąd był za silny, czy też skostniałe od zimna ręce i nogi, nie mogły z siłą działać woda poczęła gwałtownie go unosić, szczęściem, że w stronę przeciwną tej, w której byli cyganie. Naprożno chciał opierać się, gdyż czuł, że długo nie zdoła się utrzymać na powierzchni wody; wciąż unoszony, pędził szybko z prądem. Zimno przenikało go do kości, nasiąkłe wodą odzienie zaczęło mu straszliwie ciężyć, coraz słabiej się opierał i myślał już o śmierci.

Zmówił w duszy cichą modlitwę, westchnął do matki, która tam zapewne z wyżyn niebieskich patrzy na straszną śmierć swego dziecięcia i już ostatkiem sił utrzymywał się na wodzie, gdy nagle nogi jego uderzyły o ziemię. Z niezmierną, niewypowiedzianą radością postrzegł pod swemi stopami biały piasek, prowadzący aż do samego brzegu.

Tu, wśród wody, ukląkł na piasku i w cichych, serdecznych słowach dziękował Bogu za wyratowanie go od śmierci. Modlitwa ta natchnęła go nową odwagą i energją. Żwawo podniósł się i w paru krokach stanął na brzegu, gęsto zarośniętym krzakami i młodemi drzewami.

Usiadł, zmęczony i zziębnięty straszliwie, pod krzakiem i spojrzał na cyganów, których płomieniste łuczywa wciąż kręciły się ponad potokiem. Zauważył jednak, że teraz już były tam tylko same kobiety i dzieci, konnych cyganów nie było.

— Pobiegli zapewne szukać mię po lesie — szepnął i uśmiechnął się na myśl próżności tych poszukiwań.

Wkrótce potem usłyszał tętent konia i wśród ciemności dostrzegł na przeciwnym brzegu szybko przebiegającego cygana. Gdy ten zniknął, Janek wstał i zapuścił się w głąb lasu. Ale zaledwie parę kroków się posunął, gdy niedaleko odeń rozległ się wyraźnie głos kukułki.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zabobony.

Zdawałoby się, że dziś w wieku olbrzymich wynalazków, w naszej ojczyźnie, wszelkie wierzenia i zabobony z ubiegłych wieków znikły z widowni, a nawet z pamięci. A jednak tak nie jest. Ślady pogaństwa można jeszcze dziś w zapadłych wioskach górskich spotkać. Ta wiara w czary i inne gusła jest w tych wioskach silna, mimo, że we wsiach tych są kościoły i szkoły. Nic dziwnego, że taki stan jest, wszak nikt tam nie weźmie książki lub gazety do ręki, o ile zaś weźmie, to jakieś senniki i t. p. Prawda, że te podania i wierzenia ludowe dały grunt pod nowy kierunek poezji zwany romantyzmem, a którego wielkim przywódcą był wielki wieszcz narodowy Adam Mickiewicz.

Wracając do rzeczy, zaznaczyć muszę, że owe podania nie zniknęły, owszem tkwią głęboko w umysłach ludu, a co więcej, lud przywiązuje do nich znaczenie. Nawet wiara nie zdołała tych wierzeń zmienić, owszem nawet Kościół był zmuszony niektóre dostosować do obrzędów religijnych.

Żaden naród nie posiada tych podań tyle, co my. Zawdzięczamy to jedynie spokojnemu zajęciu dawnych naszych przodków, którzy, trudniąc się: rolnictwem, bartnictwem i hodowlą bydła i owiec, mieli czas, a obdarzeni z natury bujną fantazją, snuli przeróżne opowieści o boginkach, topielcach. Posługiwano się różnemi ziołami i układano przepisy na zażegnywanie chorób coś w rodzaju dzisiejszych recept.

Przebywając między ludem wiejskim, zaobserwowałem jeden charakterystyczny zabytek pogański, który w ziemi Żywieckiej miał miejsce. Kiedy on powstał, nie wiem, w każdym razie jest on tak dawny, jak dawną jest gruźlica popularnie „suchotami" zwana. Co należy więc czynić, aby chorego uzdrowić — proszę posłuchać a raczej przeczytać, co właśnie robiła jedna baba, gdy jej chłop był chory na suchoty. Posłała jednego krewnego na targ do miasta, polecając mu ukraść garnczek gliniany nowy, tak, aby nikt nie widział. Z ukradzionym garnkiem musiał iść tak, by z nikim nie wdawał się w żadne rozmowy. Gdy przyniósł garnczek do domu, owa żona chorego, wyparzyła ów garnczek trzema kamieniami rozpalonymi do czerwoności i na płocie powiesiła na noc. W nocy zaś posłała na cmentarz swojego teścia po ziemię z grobu chłopca, gdyż chory należał do rodzaju męskiego. (Gdyby chorą była dziewczyna, to ziemia musiałaby być z grobu dziewczyny). Ziemię z cmentarza wymięszała wraz z zielem poświęconem w święto M. B. Zielnej. Następnie włożyła tę mięszaninę do owego garnka i wrzuciła doń parę żarzących się węgli. Obleciała z tem trzy razy dom dookoła i weszła do izby chorego. Tam oddała ten garnczek dymiący jednemu z obecnych przy chorym, a ten okadzał nim chorego. Dym zaś miał odpędzić wszystkie choroby, goszczące w chorym. Po okadzeniu chorego, kadzący idzie z tym garnkiem jeszcze raz koło domu i zagląda w szyby. O ile się w szybach ukaże głowa lub jakaś postać, to chory umrze, o ile nie, to wyzdrowieje. Po tej ceremonji udaje się ów kadzący z tym garnkiem pod wieczór na rozstajne drogi t. zw. krzyżowe i tam przez nikogo niewidziany, garnczek ów rozbija i szybko wraca do domu, lecz inną drogą, by zmylić owe choroby, które rzekomo miały być wyniesione.

Pytałem się później o stan chorego, dowiedziałem się, że mu pomogło do przejścia na łono Zbawiciela.

To jeden z wypadków. Analogiczny drugi opiszę.

Po podwórzu przed domem chodził sobie mały dzieciak. Wtem do niego wylatuje piesek domowy i zaczął szczekać. Ja wychodzę i patrzę, dzieciak płacze, a pies na niego szczeka — i nic więcej. Płaczącego zabiera matka do domu i wypytawszy się o powód płaczu, przychodzi i prosi o parę szczecin ze psa — (ona to nazwała „škutami"). Ja się pytam na co? Ona odpowiada — (piszę tak, jak ona mówiła). „Abo prosę Wos, wasego psa zląkł się mój haśnicek (chłopiec mały) i trzepie nim — muse go tez okadzić dymem z tych škutów — to go ta ten lęk odejdzie. Dałem jej więc te kilka włosów z owego psa śmiejąc się serdecznie z jej „mądrości" w sercu. Nie pomogły jej żadne moje tłómaczenia. Była to góralka od Żywca — święcie wierząca w skutek psich włosów.

Takie to jeszcze zabobony panują wśród ludności w wieku 20-tym. Bardzo piękne podania są o świętach B. Narodzenia, które o ile Szan. Redakcja „Roli" pozwoli, napiszę, a z nich możemy jeszcze dużo pogańskich zwyczajów poznać.

Władysław Bienias.

BORUTA, DJABEŁ ŁĘCZYCKI.

III.

Kiedy Boruta kazał grać muzyce „chmiela" i podskoczył ku pannie młodej, chcąc ją ująć za rękę, przestraszona dziewoja wrzasnęła i chciała mu umknąć. Ale Boruta, nie zważając na jej trwogę, już pociągnął ją na środek izby, aby rozpocząć tan zaczepinowy. Wówczas w obronie swojej żony stanął pan młody i wyzwał śmiałka na szable.

Nieznajomy ociągał się, ale gdy mu nowożeniec wyciął siarczysty policzek, że ledwie przytrzymał czapki na głowie, a od innej szlachty poczuł na karku silne razy, zawołał:

— Po jednemu, po jednemu proszę z sobą w taniec!

I wyszedł na podwórze.

Zawyły psy, jakby wilka poczuły, szlachta wybiegła za nim, żeby nie uciekł, zapalono łuczywa, wyniesiono świece i zajaśniał podwórzec, jakby od słońca w południe.

Nieznajomy dobył szabli i spojrzał iskrzącym wzrokiem, gdy pan młody krzyż święty swoim kordem na ziemi zaznaczył.

Aż się skry sypnęły za złożeniem szabli; nieznajomy dobrze się bronił, znał krzyżową sztukę, ale pan młody zręczniej nacierał tak, że dłuższy czas szala zwycięstwa nie przechylała się na żadną stronę.



Przerzucił szablę do lewej ręki.

Z zapartym tchem śledzili obecni zaciętą walkę, a już ten i ów ze szlachty przygotowywał się w duchu zastąpić za chwilę pana młodego. Zdawało się bowiem, że wkońcu zręczność będzie musiała ustąpić przed siłą. Panna młoda tymczasem, stojąc opodal w największej trwodze, zbladłemi usty szeptała ciche słowa modlitwy. I to zdaje się więcej drażniło Borutę, aniżeli zręczne natarcia jego przeciwnika. Poirytowany ścisnął silniej szablę w garści i z całym rozmachem zamierzył się na pana młodego. Krzyk dał się słyszeć z ust niewieścich, gdyż myślały, że pan młody padnie od tak strasznego ciosu. Ale ten uskoczył zręcznie w bok i sam z swej strony natarł na groźnego przeciwnika.

Walka przedłużała się, gdyż po jednej stronie była siła, a po drugiej zręczność. Wprawdzie ten i ów bardziej krewki szlachcic wyciągał szablę z pochwy, aby pospieszyć panu młodemu z pomocą, ale żaden nie czynił tego, gdyż byłoby to ujmą dla szlachty, gdyby równocześnie zaatakowało dwóch jednego, choćby on nie wiadomo jak silnym był przeciwnikiem.

Widocznem jednak było, iż siły zaczynają pana młodego opuszczać. Walczył jeszcze, ale w myślach już zaczął robić rachnek sumienia i przygotowywać się na śmierć niechybną. Czuł to nietylko on sam, ale czuło i całe otoczenie jego, a niejeden z braci szlachty, który po przegranej pana młodego miał się zmierzyć z strasznym gościem, żegnał smętnym wzrokiem ten świat, który, jak był mocno przekonany widział podówczas po raz ostatni.



Boruta lizał okaleczoną rękę.

Na chwilę walka osłabła nieco. Boruta podtarł sumiastego wąsa, rzucił okiem na przypatrujących się śmiertelnej walce, jakby im chciał powiedzieć, że z djabłem sprawa niełatwa i nie atakował zbyt natarczywie.

To zachęciło pana młodego do wzmożenia ataku z jego strony. Z całym rozmachem rzucił się na Borutę, ale to djabła podrażniło nadzwyczajnie. Podniósł szablisko ku górze i ciął nią okrutnie, aby już raz skończyć tę zbyt przedłużającą się walkę. Cios był straszny i z pewnością pan młody padłby był na ziemię, rozpłatany na dwie połowy. Wczas jednak uskoczył, a przerzuciwszy szablę z prawej ręki do lewej tak szybko, że Boruta nie dostrzegł tego i nie zasłonił się przed ciosem. Wypadło Borucie szablisko z ręki, a razem z niem spadły dwa jego palce na ziemię razem z czarną rękawicą, zaś z ręki popłynęła struga krwi, podobnej zupełnie do smoły.

Boruta nie dał jednak za wygraną: lewą ręką sięgnął po wytrąconą mu szablę i byłby niezawodnie rozpoczął dalszą walkę, gdy w tem kur zapiał w pobliskiej oborze.

Stęknął ranny Boruta, poskoczył i znikł z koła otaczającej go szlachty, pozostawiając na ziemi pas złotolity, rękawicę zbroczoną krwią i szablę. Gdzie stał, zakipiało trochę smoły i gryzący zapach uderzył we wszystkie nosy.

Pan Kalina podniósł pas i rękawicę, a gdy potrząsł nią, wypadły z niej dwa wielkie pazury z kawałkami palców. Pan młody oglądnął szablę, ale nie było na niej krzyża świętego, jaki był zawsze na szablach polskich.

Zgromadzeni poznali dopiero wówczas, kto był ich nieproszonym gościem i poczęli z przerażeniem wymawiać jego imię:

— Boruta! Boruta!

A Boruta tymczasem powlókł się do lochów łęczyckiego zamku, gdzie przy rozpalonej drzazdze smolnej, bez pasa i szabli, w rogatywce z pociętem suknem i siwym poszarpanym barankiem, położył się na próżnych beczkach i lizał swą okaleczoną rękę, z trzema potężnymi pazurami, bo dwóch już mu brakło na zawsze.

A kiedy ból na chwilę ustawał, Boruta mruczał:

— Nie wyjdę już więcej na świat, o nie! Człowiek, kiedy się uprze, to i djabłowi da radę! I cóżem zyskał na wdawaniu się ze szlachtą? Kiedy piłem dobrze, to klaskali, a kiedy się chciałem zabawić, to wyzwali na pojedynek. Myślałem, że im podołam i byłbym podołał, gdyby nie dwie rzeczy... Pierwsza, to ten znaczek na szabli mojego przeciwnika, który mnie palił i ranił już samym swoim widokiem. A druga, to te ciche szepty panny młodej. Jakby wiedziała, że ja mam wroga, którego od lat tysięcy chcę pokonać, a którego nie mogę. To peszyło każde moje uderzenie i to było powodem mej przegranej!

— Obcięli mi dwa pazury — szeptał dalej Boruta — pocięli czapkę, zostawiłem im swoją czapkę... Ale to wszystko jeszcze nic, boć to najgorsze, że poznali, iż pokonali Borutę...

I kręcił ze złości wąsy, darł brodę, a lizał rękę zranioną, ale odtąd już więcej z lochu zamkowego nie wyszedł łęczycki djabeł.

KONIEC.



MACIEK BZDURA GADA:

Omało ze mi juz głowa z okrutecnej turbacyje nie pęknie. Zlizają się bowiem godnie święta, a ja jesce po dziś dzień nie wiem, co gospodyni ugdysą na pośnik. Ja tam co prawda za jedzeniem bardzo nie jesstem i byle cem się kontentuje bez rok cały, ale co uchodzi kiedyindziej, to nie uchodzi na święta, i to jesce godnie, w które się urodził Poniezus i wszyscy święci.

Bez cały rok cy się je więcej, cy mniej, to tam jakosik człek zyć potrafi. I ja tez, bylem miał na śniadanie dzbanusek baszcu, ciarapkę zimiaków i pół bochenka chleba, to do samego obiadu o jedzenie nie dbam i mogę do połednia chodzić o głodzie. A i po obiedzie jaze do samej juzyny nic a nic mnie do jedzenia nie ciągnie, bo ja przecie nie kura i jajek w słomie nie nosę, to się byle cem obejdę i nie będę od świtu do noce za zarciem się obzirał, jak ta kura za ziarkami.

Co inksego pośnik. Tu musi być zywot dokumentnie na cały rok wyładowany. Bo powiadają, ze kto co robi we wiliją, to bez cały rok będzie robił. Latego tez i ja uwazam, ze jako bez cały rok człek musi jeść, to zeby się to kiedy nie urwało, musi przedewszystkiem we wiliją dokumentnie się odzywić. A musi tembardziej o sobie pamiętać, bo wszyćko co se tam człek w sobie przez cały rok uskładał, w jadwencie do cna wyleciało.

A zeby to choć człek naprzód wiedział, jak to będzie przy tem świętem pośniku, toby się mógł z góry przygotować. Bo na świecie trzeba się do wszyćkiego przygotować. Ma się dziecko urodzić, to juz parę dni naprzód pierze się zesłorocne onucki na pieluski, sprowadza się krajsbabkę, struga się z drzewa kolibkę, albo ochędoza niecki z ciasta, coby małego pędraka sobą nie gnietło.

Chce się człek obabić, to najprzód bez parę lat musi sobie sukać jakiego kołtuna, któryby się śnim odwazył pójść do jegomości i jesce przed tem dokumentnie pacirza naucył. A nawet, jak ma umrzyć chłop, to choć on się sam do śmierci nie przygotowuje tak bardzo, bo wie, ze ona cy wcześniej, cy później go nie minie, ale do chłopskiej śmierci musi się jego baba na amen przygotować, bo ona w takim razie waźniejsa, jak ten, co ma umrzyć. A więc jak tylko chłopa kołki spirają, to juz przysła gdowa po jesce zyjącym nieboscyku musi się rozglądać za godnym jego następcą, któryby chociaz o morgę pola miał więcej, anizeli ten, któremu się na śmierć zabira. A nie ino inksego trzeba zawcasu sukać, ale i o zyjącym od casu do casu myśleć, aby się nie rozmyślił i z chorości nie wstał. Bo bywają i takie wypadki, a wówcas zarnówica w robocie, a to nie kuzdemu lubuje.

A kiedy juz tak człek do wszyćkiego i zawse się przygotowuje, jakoby więc miał się nie przygotować do pośniku, kiedy przecie kuzdemu wiadomo, ze to jest najważniejse zdarzenie w zyciu kuzdego porządnego człowieka. A ze jest najważniejse, to się przecie samo przez się rozumie, bo wiadoma przecie rzec, że dziecko mozna mieć codziennie nawet, a jakby się kto uwziął, to i dwa na raz, zenić się mozna i codziennie bez rok cały z wyjątkiem wielgiego postu i jadwientu, umirać choć sam człowiek nie moze kilka razy, ale drudzy mogą mu zawse umrzyć, kiedy ino zechcą i ile ich jest, a pośnik moze być ino raz do roku i to ino przed samemi godniemi świętami. Nie powiadam ja, zeby to dobrze ludzie wymyślili, ale kiedy juz tak wymyślili, to ono juz i tak być musi. Ja bo jakbym pośnik wymyślał, to przynajmniej raz na tydzień, albo i częściej, to i zycie milsejseby na świecie było. A tak to co?

W tem wszyćkiem zasie najgorse jest to, ze moja gospodyni ani rus nie chcą powiedzieć, co będzie na pośnik i bez to człek nie wie, jak się ma do tej świętej urocystości przygotować. Latego widzi mi się, ze po godach trzeba se będzie koniecnie zmienić gospodynię na inksą. A mam cas obejrzyć się po świecie i cego godnego posukać. Nie będzie się mi rozchodziło, coby moja przysła gosposia miała wiele sadła na sobie, o nie, bo coby mi z tego przysło? Niech sama będzie, jak skrzat chuda, byle tylko tłusto jeść dawała, bo taka pono najlepsa.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Tam, gdzie był raj.

Niejeden z naszych Czytelników zadawał sobie może pytanie, gdzie też był ten raj, w którym mieszkali nasi pierwsi rodzice, zanim ich anioł nie wypędził z niego za grzech pierworodny? Na pytanie to dzisiaj trudno z całą ścisłością odpowiedzieć, gdyż potop, którym Pan Bóg ukarał ludzkość za ich grzechy, zmienił zupełnie powierzchnię ziemi tak, że dziś trudno odgadnąć, jak ona przed potopem wyglądała.



Mielenie zboża w Mezopotamji.

Wszelkie jednak prawdopodobieństwo przemawia za tem i stwierdzają to zresztą rozmaici badacze starożytności, że raj był tam, gdzie dziś znajduje się Mezopotamja, to jest na pograniczu Persji i półwyspu Arabskiego. Mezopotamja jest krainą, jakby klinem wbitą pomiędzy wyżynę Syryjsko-Arabską a wyżynę Iranu. Przez krainę tę przepływają dwie rzeki: Eufrat i Tygrys, które w dalszym biegu zlewają się w jedną i uchodzą do zatoki Perskiej.

Dzisiejsza Mezopotamja wcale nie jest podobna do raju, gdyż pomiędzy Eufratem i Tygrysem rozkłada się wysoka, stepowa okolica, na której znajduje się wiele odtoku skalnego i piasku, a więc posiada grunt nieurodzajny. Południowa Mezopotamja jest krainą niższą, napływami rzecznymi przykrytą, miejscami również zasypana piaskami. W czasie posuchy ziemia pęka na głębokie rozpadliny, natomiast w porze deszczowej stoi pod wodą. Znaczne przestrzenie posiadają wielkie pokłady asfaltu, który żarem słońca rozpalony, przedstawia zdala dymiące się stożki. Ponad brzegami widnieją „noria", to jest kołowroty z wiadrami, które czerpią wodę z rzeki i rozlewają po polach, nawadniając je, lub podlewając owocodajne krzewy i palmy.

Na takiej ziemi nie może być mowy o urodzajach, a przez to ludność tamtejsza jest biedna i nieraz cierpi niedostatek. Ponieważ jest tam klimat ciepły, więc mieszkańcy tamtejsi nie budują sobie chat, ale przez cały rok żyją pod namiotami takimi, jakie widzimy na naszym obrazku. Sposób przyrządzania pokarmów jest również bardzo prosty. Można to poznać również na naszym obrazku, na którym widzimy mieszkankę tamtejszą, żonę Kurda, mielącą zboże przed chatą. Oto na jakiemś posłaniu kładzie okrągły kamień, nasypuje na niego zboża i przykłada drugim kamieniem, a uczyniwszy to, obraca górny kamień, który ściera nasypane zboże na grubą mąkę.

Dawniej było i tam inaczej. W dolnej Mezopotamji poprowadzono w starożytności liczne kanały, które rozprowadzały wodę po okolicy, użyźniały ją, lub odprowadzały wody z Eufratu do niżej płynącego Tygrysu. Nebukadnezar kazał wybrać olbrzymie jezioro, do którego odprowadzono wody, a potem, w czasie posuchy, wypuszczano je stąd do kanałów i powodowano ich wylew. Mezopotamja była też wówczas krainą prawdziwie błogosławioną. Mogły się tu rozwijać wielkie miasta i państwa, które opierały swą wielkość na bogactwie przyrody i pracy człowieka.

Z państw starożytnych do największej potęgi doszli tu Babilończycy, a o wspaniałości ich miast świadczą po dziś dzień jeszcze ruiny, jakie się tam znajdują, jak Babilonu, Niniwy i t. p. znanych nam ze Starego Testamentu. — Tam też po tysiącach lat można widzieć jeszcze szczątki owej biblijnej wieży Babel, których podobiznę podajemy na naszym drugim obrazku.

Dzisiaj Mezopotamja jest obrazem pustyni, pełna gnijącego bagna, ziejącego zaraźliwemi i zabójczemi chorobami. A w zaroślach gnieżdżą się gromady żarłocznych szakali, napadających na bezbronną ludność. Jest to dowód, do czego mogą doprowadzić oświata i pracowitość mieszkańców z jednej, a ciemnota i brak zamiłowania do pracy z drugiej strony.



Ruiny wieży Babel.

Ślepa niewolnica.

Rozdział XLVI.

Bitwa pod Kahlenbergiem.

Na rozkaz króla polskiego, pułki ruszyły.

Sobieski połączył pułki swoje z cesarskimi i zajął wspólnemi siłami klasztor Kamedułów wraz z kaplicą Leopolda, gdzie ustawiono dwie saskie armaty i jedną cesarską i rozpoczęto ostrzeliwanie nieprzyjaciela.

Pierwsze te strzały armatnie obwieściły oblężonym Wiedeńczykom przybycie wybawców.

Zatrąbiono do ataku.

Otwarty atak tak dalece pomieszał Turków, że nawet na górze, na którą uciekli, częścią nie dotrzymali placu, ustępując miejsca Sasom, częścią po niejakim oporze przy pomocy nadciągających nowych wojsk, które ich zaatakowały z boku, zostali do ucieczki zmuszeni.

Około południa wyszli najprzód cesarscy i zaraz po nich Polacy na dolinę i wojska sprzymierzone ukazały się Wiedeńczykom na dolinie w takim wzorowym porządku, jak przedtem stały na Kahlenbergu.

Przedewszystkiem potrzeba było zdobyć ufortyfikowaną silnie przez wielkiego wezyra wieś Nussdorf, następnie Heiligenstadt, potem zaś sprzymierzeni ujrzeli się na równem polu.

Wtedy Kara Mustafa zwrócił całą swą siłę przeciw Polakom.

Było to około drugiej godziny po południu.

Zbyt spieszny atak kilku polskich szwadronów jazdy, których przeważna liczba nieprzyjaciela otoczyła i zmusiła do spiesznej ucieczki, mógł źle oddziałać na innych i zachwiać ich także zwłaszcza, że nadciągnęło więcej Turków i uderzyli na Polaków z boku, tak, że ich kawalerja, wyborowa część całego wojska, zagrożoną była rozbiciem.

W tej niebezpiecznej chwili przyzwał król donośnym głosem Niemców pieszych, których cztery pułki dodano mu już przy wchodzeniu na Kahlenberg. Pospieszyli oni na pomoc Polakom i nietylko wytrzymali trzykrotny atak turecki, lecz łącznie z Polakami złamali szyki nieprzyjaciela i zdobywszy pagórek, leżący przed obozem, a obstawiony działami, odparli go prawie do samego obozu.

Około godziny szóstej wieczorem inne pułki Polaków, które musiały znacznie nadkładać drogi, nadciągnęły do obozu i po krótkiej walce wypędziły z niego Turków.

Wielki wezyr widział, że sprawa jego przegrana, w rozpaczy prosił chana tatarskiego, ażeby usiłował nadać inny obrót walce. Ale było zapóźno, gdyż Tatarzy odwrót zaczęli.

Niebezpieczeństwo wzrastało z każdą chwilą tak, że Kara Mustafa z orszakiem musiał także uciekać.

Król Jan Sobieski, zwycięzca, o zachodzie słońca odbył wjazd do obozu tureckiego.

Zwycięstwo zatem było zupełne, nieprzyjaciel wszędzie rozproszony, w ucieczce. Tylko zmęczenie i brak środków żywności stanęły na przeszkodzie skutecznej pogoni. Polacy jednak, którym przypadły laury dnia tego, ścigali Turków i wybili ich około pięciu tysięcy pod Endesdorfen, a generał Duenewald część zapędził do Dunaju.

Kara Mustafa ze szczątkami swego wojska oddalał się bezpiecznie, aż nareszcie w obronnych murach warowni belgradzkiej znalazł przytułek.

Rozdział XLVII.

Uwięzienie.

Gdy walka się zaczęła i zagrzmiały działa, Jagiellona opuściła swój namiot. Tak ona jak kanclerz Pac, który był przy niej, byli przekonani, że Turcy zwyciężą. W obozie nie było żadnego punktu, z którego możnaby było widzieć dokładnie całe pole bitwy.

Gdy zatem po kilku godzinach wrzawa walki, huk strzałów zbliżać się zaczął do obozu, kanclerz oddalił się, ażeby otrzymać wyjaśnienie, co do przebiegu bitwy, a tymczasem Jagiellona pozostała w bliskości namiotu, oczekując go niecierpliwie.

Nagle nadbiegł jeden z jej służby.

— Pani, — zawołał, — jeźdźcy tureccy uciekają! Pędzą tu do obozu wśród kurzawy i dymu!

— Oszalałeś, głupcze! — rzekła Jagiellona niechętnie, — precz z moich oczu! Przynieś mi lepsze wiadomości! Czyliż jeźdźcy wielkiego wezyra mogą uciekać?

Sługa nie miał odwagi powtórzyć słów swoich i odszedł.

Wrzawa walki zbliżała się coraz bardziej. Co to znaczyło? Niepokój przejmował Jagiellonę.

Nagle ujrzała szybko nadjeżdżającego Paca.

— Uchodź pani! — rzekł do niej ponuro, — uchodź! Niema chwili do stracenia! Sprzymierzeni zwyciężają! Wojska wielkiego wezyra pobite!

— Gdzież Kara Mustafa? — zapytała Jagiellona.

— Przegrał bitwę i musi uciekać!

— A więc pobity.... wstyd i hańba temu wojsku, które miałam za niezwyciężone! — rzekła z gniewem Jagiellona.

— Do widzenia, pani! I ja opuszczam obóz! Uchodź pani, póki czas jeszcze! — zawołał Pac odjeżdżając.

Straszna wrzawa, niesłychany zamęt powstał przy oblegających, ponieważ wojska przeznaczone do szturmowania Wiednia w dzikim pośpiechu uchodziły. Nie było czasu nic zabierać. Jezdni i piesi w niepodobnem do opisania zamieszaniu uchodzili, byle tylko życie ocalić. W chaosie ani o porządku ani o ludzkości nie było mowy. Uchodzący jeźdźcy nie zważali na pieszych żołnierzy i wielu stratowali uciekając.

Służba Jagiellony sprowadziła dla niej szybko konie i powóz. Nie było chwili do stracenia. Jagiellona wsiadła do powozu. Jezdni słudzy jechali naprzód. Mieli oni tylko jedną myśl, ocalić życie i nie wiele troszczyli się o swoją panią. Szło im głównie o ich własną ucieczkę.

Woźnica popędzał konie. W szalonym pośpiechu powóz wojewodziny opuszczał obóz, do którego się już zbliżyli zwycięzcy Polacy. Gdyby Jagiellona wpadła w ich ręce, byłaby zgubioną. Powóz zamieszał się w ciżbę uciekających Turków. Zamęt dosięgał najwyższego stopnia. Wszyscy starali się opuścić linje oblężnicze i dostać się na wolną drogę.

Nagle dostrzegł woźnica, gdy tłum się rozszedł, że dojechał do głębokiego i szerokiego przekopu, w którym roili się jeszcze spłoszeni Turcy. Powóz musiał nadkładać drogi. Jagiellona otworzyła drzwiczki, ażeby zobaczyć, co się stało i zauważyła z gniewem, że dalej jechać niepodobna. Wołała swych służących... daremnie! Nie słuchali jej! Uciekli!

Woźnica popędzał konie i jechał jak można było najprędzej wzdłuż przekopu, ażeby przybyć na wolne miejsce, gdy nagle z głośnym okrzykiem zwycięstwa dostał się do obozu mały oddział jeźdźców polskich.

W chwilę potem powóz Jagiellony był otoczony. Pochwycili oni konie popędzane przez woźnicę za cugle.

— Czego chcecie? — zawołał na nich woźnica, — czy nie widzicie, że jestem Polak, tak jak wy?

Jeźdźcy zawahali się.

— Precz stąd! — krzyknęła Jagiellona, otwierając drzwi powozu i ukazując się, — jak śmiecie mnie zatrzymywać! Ścigajcie zbiegów tureckich, nie wdowę po polskim wojewodzie.

Słowa te uczyniły na jeźdźcach wrażenie. Nie znali oni wprawdzie Jagiellony, ale jej mowa i powóz świadczyły, że była Polką, cofnęli się zatem.



Sobieski odbył wjazd do obozu tureckiego.

Jagiellona tryumfowała. Straszne niebezpieczeństwo przeminęło. Woźnica popędził dzielnie konie. Powóz prędko opuścił obóz. W oddaleniu widać było wyraźnie bandy uchodzących Turków, piechoty, jeźdźców, janczarów.

Należało unikać niebezpieczeństwa, jakie groziło, gdy powóz spostrzegli Polacy, woźnica zatem starał się dostać na drogę prowadzącą do pobliskiego lasku. Wieczór nadchodził, a w ciemności nocy, ucieczka nie była trudną.

Kilka chwil jeszcze, a niebezpieczeństwo miało przeminąć zupełnie, gdyż tylko w oddaleniu było widać pewną liczbę polskich jeźdźców, walczących z tureckiemi, którzy zasłaniali odwrót.

Gdy już Jagiellona uważała się za ocaloną, kilku jeźdźców polskich zobaczyło powóz i puściło się za nim w pościg. Zaczęli wołać na powóz, żeby stanął, ale woźnica pędził dalej. Jeźdźcy grożąc pistoletami i nadjeżdżając kazali mu stanąć. Woźnica myślał, że zdoła ujść i nie zatrzymywał się. W chwilę potem dało się słyszeć kilka strzałów, woźnica zachwiał się na koźle i spadł. Prawie w tym samym czasie Jagiellona uczuła, że powóz stanął. Jeden z koni trafiony kulą padł, drugi zatrzymał się. Polscy jeźdźcy otoczyli powóz. Dwaj z nich zajęli się woźnicą, który dawał jeszcze znaki życia, trzeci zbliżył się do powozu.

Jagiellona poznała w nim kapitana Wychowskiego. Zbladła. Czuła, że była zgubioną. Trzej jeźdźcy zeskoczyli z koni. Wychowski zbliżywszy się, poznał wojewodzinę Wassalską, o której wiedziano, że była w obozie nieprzyjacielskim.

— Aresztuję panią wojewodzinę! — rzekł, kłaniając się.

Jagiellona szybko wyjęła mały sztylet z poza gorsu.

Wychowski jednak odgadł zamiar zdrajczyni i szybko chwycił ją za rękę.

— Proszę pani o szylet — rzekł.

Jagiellona spojrzała nań wzrokiem pełnym nienawiści. Po odebraniu sztyletu nie miała siły się sprzeciwić.

Nie opuściła jej jednak przytomność umysłu. Odzyskała panowanie nad sobą, zimny spokój i dumę.

— Czego pan chcesz odemnie? — zapytała, — nie jestem na polskiej ziemi! Co znaczy ta napaść?

— Aresztuję panią, — powtórzył Wychowski tonem stanowczym, — byłaś pani u naszych nieprzyjaciół. Kto się dopuszcza zdrady, ten utraca wszelkie prawa! Co dalej stać się ma z panią o tem nasz król i pan rozstrzygnie!

Tymczasem dwaj towarzysze Wychowskiego odprzęgli od powozu zabitego konia.

Walka uciekających ze ścigającymi trwała ciągle. Ściemniało się.

— Wzywam panią, abyś nie stawiała oporu, — rzekł Wychowski do Jagiellony, — gdyż musiałbym kazać związać panią.

Jagiellona mierzyła go wzrokiem pogardy i nienawiści. Była jednak zmuszoną poddać się.

— Senat będzie tutaj decydował! — rzekła dumnie.

— W czasie wojny, król decyduje, pani wojewodzino! Wieszanie zbiegów i zdrajców od niego zależy! — odparł kapitan.

Jeden z jeźdźców przyprzągł tymczasem swego konia na miejsce zabitego, a sam wsiadł na kozieł w miejsce woźnicy, który przed chwilą ducha wyzionął.

Jagiellona podała się konieczności, z pewną nadzieją, że może w zamęcie powiedzie się jej ucieczka.

Wychowski z towarzyszami odstawili ją do obozu, który tymczasem przez Sobieskiego został zajęty.

Było już ciemno, gdy przybyli na miejsce.

Polskich żołnierzy konno z pochodniami w ręku widać było wszędzie. Jagiellona była w ręku zwycięzców.

Umieściwszy Jagiellonę w namiocie, Wychowski ze wszystkich stron rozstawił warty.

Tym sposobem ucieczka stała się niemożebną, zwłaszcza, że cały obóz był pełny zwycięskiego wojska, które całą noc stało w gotowości do boju.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



W ponury słotny czas...

W ponury słotny czas
Przy czarze nocy zdradzieckiej,
Zapłakał rzewnie las,
poszumem drzew.

I niewidzialny jakby duch
Na rozczochranych szczytach wierzb
Uśpił przechodnia wzrok i słuch
jesienny wiew.

Zanucił piosnkę znów
Daleką, zapomnianą,
Z cichych ułudnych słów
z dziecinnych lat.

Rozdmuchał w sercu iskrę burz
I porwał mi go w tęsknotę
Tam, gdzieś w krainę złotych zórz
hen ponad świat.

Józef Frasik.

„Kościa“.

Nad Piną i jej błotnistymi brzegami, zarośniętemi zielenią szuwarów unosiła się lekka i powiewna, jak woal mgła. Zwykła się ukazywać po zachodzie słońca. Płynęła nisko majestatycznie, muskając końce wodorośli, przysłaniała białym swym całunem nadbrzeżną małą wioszczynę. Zmrok zapadał szybko.

Od moczarów i wód wionął zimny powiew, wraz z wonią gnijących roślin. Po gładkiej prawie, że lustrzanej, tafli wody, wśród oparów posuwały się wolno dwa czółna wypełnione paszą dla bydła. Równo płynęły w pobliżu siebie, odpychane długiemi wiosłami, a wyładowane po brzegi unosiły swe dzioby jakby wypatrywały celu. Od czasu do czasu wśród ciszy rozlegał się plusk opadającego w wodę wiosła i znów lekkie dzioba prucie, złączone z bulgotem wody o przód czółna.

— A prędzej, prędzej Nataszka, bo spóźnimy, a jeszcze i bydłu trza dać — mówiła prawie że szeptem dziewczyna odpychająca jedno z czółen, do sąsiadki obok płynącej. Odpowiedzią na to było tylko szybsze zagłębianie wiosła w mulastem dnie rzeki.

— Bo to „dziaćka“ będzie dzisiaj bajał a zapowiadał, że ciekawe.

— Bo i prawda, co z pamięci starych, to dla nas nowe i ciekawe. Zawsze ta coś pamiętają — mówiła druga.

I znów cisza, przerywana od czasu do czasu pluskiem wiosła lub głuchem ocieraniem dna o nenufary.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

W słabo oświetlonej niskiej stancji, gromadzili się przybyli ciekawi słuchacze. W jednym z rogów izby siedział na trójnóżku starzec o pogodnem obliczu, okolonem siwym zarostem, a oczach pełnych jeszcze blasku. Siedział pykając małą zgiętą fajeczkę, wiążąc przytem szybko oczka sieci. Gdy się wszyscy zebrali i otoczyli go, wówczas zaczął wolno, nieprzerywając swych czynności mówić.

— Będę dziś prawił dziewki, dla waszej przestrogi.

I zaczął.

— Za ruskich pamiętam jeszcze czasów, w wsi naszej żyli Zydlowie. Domostwo ich na wzgórzu stało, zaraz przy drodze z okrąglaków zbitej. Mieli córkę ładneńką i zdrową, ot coś jak Marycha — tu wskazał na kryjącą się w końcie dziewczynę.

— Dzisiaj z ich domostwa i śladu nie znajdziesz, a o nich i wasi zabaczyli ojcowie. Kościa, tak zwano zdrobniale dziewkę, pragnęła wtedy być w wielkiem mieście, wielką panią i w miejskiem chodzić odzieniu. To też gdy zjeżdżały swaty, zwożąc trunki na poczęstunek, odprawiała je Kościa, narażając starych na wstyd i wydatki. Czekała, czekała, nie chciała naszego, by w czółnie zielska nie wozić. I przyszedł, obcy przybysz. Powracał ponoć z mińskiej gubernji. Nikt go tu nie znał, chociaż bajano, że nieczystej to człek ręki. Czas jakiś na służbie u Zydlów był, aż po wsi rozeszła się wieść, że Zydle za parobka Iwana Kościę wydają.

Dziaćka splunął, ujął w rękę kłąb szpagata i ciągnął gawędę dalej.

— Ponoć coć tam zrobili, bo Zydel z ledwością nakłonił Iwana do ożenku. Ona ta była za niem, bo niby to miastowy, był tam i tu, myślała, że będzie panią, jak jaka ze dwora. Ano odbył się ślub i wołu do wesela zrychtowali starzy, bo też Zydle najbogatsi we wsi byli, dziś takich w powiecie nie znajdziesz. Iwan nic nie robił — ot coś jak Maciek do roboty nie skory — mówił wskazując fajką na młodego chłopaka.

— Dopominał się wiana. Zydle dali rubelków ponoć sporo. Wtedy Iwan na kilka dni kajsik się podział, mówiono nawet, że uciekł. Lecz wrócił, dopominał się znów pieniędzy i chaty chciał całej, nie bacząc gdzie podziać starych. Pił tylko, w karty grał, tak psuł naszych.

— Raz nawet nocą pojechał z Zydlem zbierać sieci, noc była straszliwie ciemna, a wiater łomotał silny o trzciny nadbrzeżne. Ja wówczas też siecie zbierałem tej nocy. O była to noc jakaś dziwna, straszna. Długo na wodzie nie bawiłem, a wyciągając czółno na brzeg pod chatą, zauważyłem, jak przeleciał koło mnie mokry i wystraszony Iwan.

Wychudłe palce starca, niezmęczenie prędko wiązały drobne oczka sieci.

— Na drugi dzień już rankiem obiegła wieś wiadomość, że Zydel utonął, różnie o tem mówiono. A ciała i do dziś dnia nie znaleźli...

— Dziaćka, a policja co na to? — pytał spoglądając wystraszonemi oczyma mały Jaś.

— Były za ruskiego „smostrzyki“, a ci szukali tylko politycznych, nie tak jak dziś, co przyjeżdżają do nas na takich warczących łodziach nasze polskie policjanty.

Starzec przerwaną gawędę ciągnął dalej.

— Z chaty Zydlów od dnia śmierci starego rozlegały się ciągiem straszne krzyki, bił matkę i Kościę, dopominając się pieniędzy. I dostawał. Lecz i wstudni braknie wody. Sprzedawał wszystko, co pod rękę wpadło, opróżnił nawet stajnię, i chlewy ogołocił a i w izbach nic nie zostawił. Nocami zaczął gdzieś chadzać. Skarżono się tedy, u nas i w okolicy, że hudoba ginie, aż wykryto, że Iwan z pomocą Kości robił chlewów przeglądy.

Oczy starca zabłyszczały dziwnie, lecz nie przerywał pracy ni opowiadania.

— Zydlowa ponoć ze wstydu, podpaliła domostwo i w ogień się rzuciła, a dziś miejsce strasznej zbrodni pustką świeci, na której wiatr nasz wilgotny hula. Nie było rady, Kościa z Iwanem i maleństwem na rękach wyruszyli do miasta. Lata mijały i żadnej o nich nie było wieści.

Po stancji starego rybaka unosiły się ciemne kłęby dymu, które wytwarzała jego maleńka fajeczka. Po małej przerwie, pozwalającej mu nabić fajkę tytoniem, opowiadał dalej. Lecz głos jego dziwnie się urywał, jakby urywało go łkanie.

Aż razu pewnego w słotną jesień, zawitała do naszej wioski wychudłe i stare z wyglądu kobiecisko. Szła po błocie, wlokąc strzępy łachmanów, chwiała się na nogach, twarz miała zbolałą i okrytą cieknącemi ranami. Wróciła, już nie Kością, lecz starą zniszczoną Konstancją, wróciła tu do swoich w chorobach, jakie może dać miasto przez swą ropustę. Szła od domu do domu, a wszędzie zamykano przed nią podwoje. Iwan, jak później mówili, w więzieniu siedział a i ona za dzieciobójstwo poznała ten zakład. Znaleziono ją później martwą, na miejscu spalonej chaty. Nikt jej pogrzebać nie chciał, ni iść za trumną.

Tu się głos starca urwał, lecz zaraz podjął kończyć.

— Ja tylko, zaledwie za zbitą z prostych desek trumną poszedłem...

Tak skończył opowiadanie, wytrzepując z fajki popiół, dzisiejszą opowieść, w której przedstawił tragedję serca swego.

Leszek Korczak Wierzchowski.



Poradnik gospodarczy.

Ważniejsze choroby prosiąt.

Młode prosięta mogą zapadać na następujące poważne cierpienia: owrzodzenia ciała, podagrę, liszaje i konwulsje.

Owrzodzenie ciała: Widzimy nieraz, że młode prosięta w wieku od dwóch do czterech miesięcy są o wiele słabsze i wątlejsze od innych z tego samego pomiotu; u takich prosiąt na różnych częściach ciała, a także i w okolicy stawów widoczne są bolesne opuchliny, zawierające gęsty płyn. Najczęściej opuchliny takie pojawiają się w kilku miejscach i mogą być różnych rozmiarów, od gołębiego jajka dochodzą do wielkości dwóch pięści.

Skoro tylko się dostrzeże opisane objawy i stwierdzi opuchlinę stawów ze sformowaną już ropą, należy nie zwlekając opuchliny te przecinać, ropę wypuszczać, a rany codzinnie przeszprycowywać wodą karbolową 2% lub wodą lizolową 1% i utrzymywać prosięta w wielkiej czystości. Postępując w ten sposób doprowadzimy do wyleczenia; prosięta szybko się poprawiają i będą się rozwijać normalnie. Po wyleczeniu chorych sztuk koniecznie należy chlewki starannie wyczyścić, wydezynfekować i wybielić.

Rachitis czyli podagra. Choroba ta zjawia się u prosiąt najczęściej w wieku od trzech miesięcy do jednego roku.

Objawy jej są następujące: początkowo chore prosięta zaczynają chodzić niewyraźnie, chwiejnie, stąpają z wielką trudnością, następnie zjawiają się obrzęki stawów, bardzo bolesne przy dotykaniu, jednakże obrzęki te żadnego płynu nie zawierają; prosięta ciągle leżą lub wspierają się na kolanach, wskutek czego po pewnym czasie nogi przybierają formę nieprawidłową i wykrzywiają się; pomimo, że chore sztuki mają dobry apetyt i dostają dobry, obfity i posilny pokarm — to rozwój fizyczny takich prosiąt jest wstrzymany; są one chude i nie rosną. Jeżeli na chore narachitis sztuki nie będziemy zwracać specjalnej uwagi, to będą one chudły i marniały coraz bardziej, wreszcie padną z wycieńczenia. Oprócz objawów wymienionych, u niektórych prosiąt zjawia się nieraz jeszcze sapanie; oddech ich jest ciężki, szumiący i chrapliwy; jeśli takie prosięta będziemy siłą zmuszać do chodzenia, to łatwo mogą się podusić.

Jak postępować w tym wypadku?

Skoro tylko wystąpią opisane tu objawy — należy chore sztuki natychmiast z chlewa usunąć, chlew oczyścić i wydezynfekować 5% rozczynem kreoliny; jest to pierwsza i najważniejsza czynność. Następnie — jeśli się zauważy opuchnięcie stawów i trudność w chodzeniu — dawać trzeba dobry i posilny pokarm, np. przysmażone ziarno i do tego dodawać codzień na sztukę po ½ łyżeczki fosforanu wapna albo też mąki kostnej. Chore prosięta powinny być przeniesione do ciepłego i suchego chlewka, a w dnie pogodne należy je wypuszczać na kilka godzin na powietrze, uważając, by nie chodziły po ziemi mokrej i wilgotnej. Sztuki, które mają już obrzęknięte szczęki i nie mogą się zupełnie podnosić, jak również sztuki, u których objawi się owo sapanie, ciężki oddech lub wykrzywienie głowy należy dorżnąć, gdyż już się ich nie uratuje.

Wogóle trzeba pamiętać, że jeżeli choroba ta nie będzie zauważona w początkach i jeżeli nie przystąpi się natychmiast do jej zwalczania, to w okresie późniejszym leczenie żadnych korzyści nie przyniesie i nie opłaci się, ponieważ koszty o wiele przewyższą wartość chorych prosiaków.

Liszaje u prosiąt. W chlewniach, które pod względem higjeny pozostawiają wiele do życzenia i gdzie prosięta są licho żywione — bardzo często dostają one choroby skórnej, zwanej zwykle przez hodowców liszajem prosiąt.

Choroba ta tem się odznacza, że na skórze zjawiają się wilgotne miejsca różnej wielkości, które następnie pokrywają się żółtymi strupkami; strupki te po pewnym czasie ciemnieją. Prosięta stają się smutne, osowiałe, tracą apetyt chudną i niektóre po paru tygodniach choroby zdychają.

Przy leczeniu tej choroby przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na czystość skóry i w tym celu obmyć prosięta letnią wodą z mydłem, potem dokładnie obsuszyć cieńkiemi czystemi gałgankami lub też watą i wysmarować czystą oliwą. Na drugi dzień myje się znów prosięta, wtedy wszystkie strupki odpadają; wreszcie po obsuszeniu skóry smaruje się wszystkie miejsca chore — odwarem kory dębowej albo też przysypuje się je siarką (Flos Sulfuris).

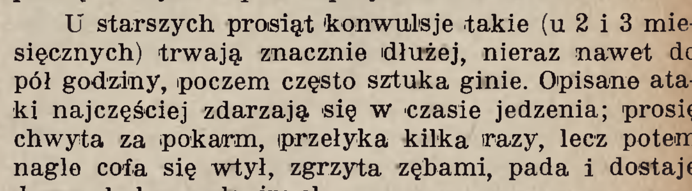
Po upływie tygodnia, ponieważ strupki zjawiają się powtórnie, jednakże w daleko mniejszej ilości powtarzamy znów całą kurację. Przez ten czas chore prosięta muszą być odosobnione i utrzymywane w wielkiej czystości. Zupełne wyzdrowienie następuje po 2 lub 3 tygodniach. Chlewki należy starannie oczyścić i zdezynfekować. Jeżeli choroba zjawia się w porze letniej, to chore prosięta należy wypędzać na podwórze lub pastwisko.

Konwulsje. Często się zdarza, że młode prosięta w wieku od 4-ech do 10-ciu tygodni mają ataki nerwowe, konwulsje; powtarza się to co pewien czas, prosięta są wycieńczone, a niektóre zdychają. Ataki tych konwulsyj zjawiają się w różnej porze tak w czasie jedzenia, jak również w nocy lub we dnie na spacerze. Przed atakiem prosię zaczyna kwiczeć, kręci się, opiera się o ścianę, potem pada na bok i przez kilka minut trzęsie się całem ciałem; gdy atak minie prosię wstaje i zupełnie przychodzi do siebie.

U starszych prosiąt konwulsje takie (u 2 i 3 miesięcznych) trwają znacznie dłużej, nieraz nawet do pół godziny, poczem często sztuka ginie. Opisane ataki najczęściej zdarzają się w czasie jedzenia; prosię chwyta za pokarm, przełyka kilka razy, lecz potem nagle cofa się wtył, zgrzyta zębami, pada i dostaje drgawek konwulsyjnych.

Tylko rzadkie wypadki kończą się zupełnem wyzdrowieniem. Przyczyna tej choroby jest dotąd jeszcze mało zbadana. Przypuszczać należy, że jedną z przyczyn stanowią robaki, dlatego też przy zauważeniu pierwszych objawów należy prosiętom raz na dzień dodawać do pokarmu jedną niepełną łyżkę cytwaru przez 3—4 dni. Sztuki chore trzymać jak najdłużej na świeżem powietrzu.

Z. Olszański.



KRONIKA.

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru „Roli“ dołączamy czeki wszystkim Sz. Prenumeratorom. Dołączamy je dlatego wcześniej, ponieważ wielu ma sposobność wcześniejszego wysłania prenumeraty. Dla Prenumeratorów na Śląsku czeskim dołączamy czeki czeskie z kontem pocztowem „Roli“ w Pradze czeskiej. Wszelkie życzenia należy pisać na środkowej części czeku, gdyż ta część czeku do nas przychodzi.

Ferje świąteczne w szkołach. Na podstawie rozporządzenia ministra oświaty ferje świąteczne w szkołach średnich i powszechnych rozpoczną się 21 grudnia i potrwają do 3 stycznia 1929 włącznie.

Dom ludowy w Krakowie. Onegdaj odbyło się w sali Małopolskiego Towarzystwa rolniczego w Krakowie posiedzenie likwidacyjne Ludowego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń „Wisła“, które postanowiło powołać do życia fundację „Domu ludowego Wisła“ z siedzibą w Krakowie i przeznaczyć na ten cel cały majątek Towarzystwa. Składa się on między innemi z dwupiętrowej realności przy ulicy Radziwiłłowskiej, oraz z papierów wartościowych. W ten sposób położono trwałe podwaliny pod wielce pożyteczną instytucję. Według postanowień statutu „Dom ludowy Wisła“ ma: 1) udzielać gościny i noclegów przejeżdżającym przez Kraków emigrantom i reemigrantom polskim, tudzież pomieszczenia dla Towarzystw społecznych i instytucyj zajmujących się emigracją polską; 2) udzielać gościny i noclegów Polakom, przybywającym do Krakowa na zjazdy, kursa, zgromadzenia, wycieczki i t. p. o charakterze społecznym, oświatowym i gospodarczym; 3) udzielać pomieszczenia Tewarzystwom społecznym, mającym siedzibę w Krakowie, których statut ma na celu szerzenie wśród ludu wiejskiego powszechnej oświaty oraz wiedzy rolniczej i ogólnej; 4) udzielać pomieszczenia przedsiębiorstwom, które zajmują się wydawnictwami drukowemi i obrazkowemi, szerzącemi wśród ludu wiejskiego oświatę i wiedzę, lub zajmują się organizacją ruchu emigracyjnego, przemysłu ludowego lub t. p.

O starostwo w Jordanowie. Województwo krakowskie przesłało do ministerstwa spraw wewnętrznych projekt przeniesienia starostwa z Makowa do Jordanowa. Projekt ten umotywowany jest następującemi względami: Jordanów położony jest na skrzyżowaniu dróg państwowych Kraków-Zakopane i Żywiec-Nowy Sącz. Cała Orawa utrzymuje żywe stosunki z Jordanowem. Jest on stałą siedzibą władz sądowych i skarbowo-podatkowych I instancji. Jest też wielkiem uzdrowiskiem, leżącem w pierścieniu innych miejscowości klimatycznych, jak Rabka, Chabówka, Skawa, Bystre i inne. Jordanów wreszcie jest głównym ośrodkiem na całą okolicę drobnego rzemiosła, jak stolarstwo, masarstwo, krawiectwo, kuśnierstwo, garbarstwo, rymarstwo i innych i od niepamiętnych czasów ma wyrobione stosunki handlowe z okolicznemi miastami i wsiami, a zwłaszcza z Orawą.

Samobójstwo bandyty. W powiecie rzeszowskim w rejonie posterunku Błażowa od 21 listopada popełniono 4 napady rabunkowe, połączone z morderstwami. Śledztwo wykazało, że w napadach tych brało udział trzech bandytów a to Chochrek Franciszek zwany Babczyn, lat 22, ze wsi Staników ad Błażowa, Kurosz Mateusz, lat 27 z Lechji i Rybka Stanisław lat 25 z Futomy, w ostatnim napadzie brali udział tylko Chochrek i Kurosz. Bandyta Rybka, odłączywszy się od towarzyszy, po kilku dniach czując, że jest ścigany przez policję, która deptała mu po piętach, na piąty dzień zgłosił się w sądzie w Rzeszowie, oddając się w ręce sprawiedliwości. Pozostali towarzysze Kurosz i Chochrek ukrywali się w okolicznych lasach, a niejednokrotnie i w domach u okolicznych gospodarzy, którzy szli im na rękę. Energiczne kroki policji doprowadziły do ustalenia miejsca pobytu bandytów, następując im na pięty w kryjówkach. Bandyci, zmuszeni do opuszczenia lasów, przedarli się w kierunku Rzeszowa. W Rzeszowie zabezpieczono przez patrole policji wszystkie rogatki oraz podejrzane domy. pomimo jednak tej czujności stwierdzono 3 grudnia rano, iż bandyta Chochrek przedarł się do miasta i znajduje się u furmana inż. Emilewicza. Udano się tam natychmiast, otaczając kordonem zabudowania gospodarcze. Bandyta Chochrek ukrył się w izbie przy stajni; kiedy policja dobijała się do drzwi, Chochrek usiłował cztery razy strzelić do policji, lecz naboje nie wypaliły, a widząc się osaczonym, ostatnim wysiłkiem poraz piąty pociągnął za cyngiel, paląc sobie w skroń. Strzał był śmiertelny, gdyż po kilku minutach zmarł. Bandyta Korosz, który stał nad Wisłokiem w zaroślach, widząc tragiczny koniec swego towarzysza, zbiegł w niewiadomym kierunku, w krótkim czasie dowiedziano się o Koroszu i zarządzono dalszy pościg.

Napad bandytów. Z Łodzi donoszą: Onegdaj około godziny 5 nad ranem wykonano napad rabunkowy na pałacyk znanego przemysłowca Karola Gumelta, leżący przy ul. Pustej. Do sypialni, w której spał ze swoim synem p. Gumelt, wtargnęło 5 uzbrojonych bandytów, Napadnięci, obudzeni ze snu, stawiali bandytom opór i przywitali ich strzałami z rewolweru. Bandyci odpowiedzieli również strzałami, lecz nikogo nie ranili, poczem, ostrzeliwując się dalej, zbiegli. Zaalarmowana policja wdrożyła dochodzenia, które doprowadziły do szeregu aresztowań.

Aresztowanie cudotwórców. Sprawa cudownego kaznodziei „Michałka“, o którym pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Roli“, weszła w stadjum pospiesznej likwidacji. Mianowicie władze admin. ze starostą z Zamościa na czele przystąpiły przedewszystkiem do badania głównych aranżerów tej całej hecy i stwierdzili, że robili oni na cudach Michałka świetne interesy. Do wystąpienia władz przyczynił się memorjał, podpisany przez przeszło 100 obywateli z Zamościa i okolicy, żądający położenia tamy dalszemu bałamuceniu naiwnych ludzi. Władze przeprowadziły przedewszystkiem rewizję w mieszkaniu majstra kowalskiego Berdeka, u którego Michałek pracował jako uczeń kowalski i który kierował całą akcją. Rewizja doprowadziła do senzacyjnych wyników. Znaleziono grube sumy pieniędzy, setki fotogrfji Michałka które sprzedawane były łatwowiernym po złotówce, pieczęć do kwitowania otrzymywanych pieniędzy, rozmaite drukowane wierszydła, a także formalne umowy, spisane przez Michałka z fotografami, którzy na podstawie tych umów mieli przyrzeczony pewien procent od pieniędzy, pobieranych przez Michałka za dostarczone przez nich fotografje. Jak stwierdzone pieniądze, które ciemny lud oddawał „cudownemu“ kaznodziei, szły na pijatykę i zabawy Ostatnio Michałek wraz ze swoim opiekunem i satelitami urządził wielkie przyjęcie w Zamościu, gdzie pito i bawiono się bez miary. Berdek, który wszystkiem kierował, zarabiał na Michałku po kilkaset złotych dziennie. Najbardziej rewelacyjnym wynikiem rywizji było odkrycie na strychu w kuźni 4 elektrycznych latarek przy pomocy których przez dziurę w dachu inscenizowano „cudowne“ słupy i krzyże świetlne nad głową wygłaszającego cudowne kazania Michałka. W rezultacie rewizji aresztowano kowala Berdeka, oraz pomocników jego Gołuchowskiego i Danilowicza. Sam Michałek, którego kazania znudziły się ludziom, ma być oddany do szkoły rzemieślniczej i pozostawać będzie

pod dozorem. Jak donoszą, obok kowala Berdeka, główną sprężyną całej tej szopki był poseł chłopski Dziduch, który przydzielił Berdekowi i Michałkowi jako adjutanta niejakiego Bednarza, swojego zaufanego, a ten wespół z posłami Stronnictwa Chłopskiego, Mochnijem i Czernickim, uprawiał wśród ciemnego ludu, który przybywał do Michałowa, aby ujrzeć i posłuchać „cudownego kaznodzieję" — propagandę wywrotową. Niema co mówić, ładni posłowie i ładne stronnictwo.

Jeszcze jeden prorok. W Hrubieszowie, nad Bugiem, ukazał się przed paroma tygodniani trzeci z rzędu „prorok". Jest to 60-letni rybak Wawrzyniec Berk, zamieszkały z żoną w małej lepiance na brzegu rzeki Utrzymuje się wyłącznie z połowu. Ma dwie kozy i psa — przybłędę. Kazania wygłasza raz w tygodniu z pagórka nad Bugiem, przyczem zwołuje dwie kategorje słuchaczów. Pierwsza składa się z chrześcijan, druga z żydów. Zazwyczaj zaczyna od kazania do chrześcijan, następnie poleca wzruszonym babom rozejść się do domu i przystępuje do drugiej części „misjonarskiej". Dotychczas wszystkie próby głębszego zainteresowania miejscowych hasydów zawiodły. Widocznie Wawrzyniec Berk nie jest obdarzony talentem oratorskim, nie umie porywać audytorjum, bowiem kilkakrotnie był poturbowany przez brodatych słuchaczów. Ostatnio przydzielono mu policjanta, który bawi się znakomicie, obserwując podczas kazania mimikę tłumu. Berk cytuje z pamięci krótkie psalmy w języku hebrajskim, co hasydów wprawia w szczery zachwyt. Gdy jednak przechodzi do komentarzy, patrjarchowie zaczynają awanturować się, krzyczą i hałasują. Dotychczas nie namówił do zmiany wyznania ani jednego słuchacza.

Tajemnicze zniknięcie. W Baranowiczach wielkie poruszenie wywołało tajemnicze zaginięcie czterech osób, które wyjechały wynajętem autem w kierunku Słonimia. Oprócz szofera znajdowało się w aucie czterech eleganckich młodych ludzi. Na drugi dzień znaleziono auto próżne o kilka kilometrów od Słonimia. Co się stało z pasażerami, kto byli oni i gdzie się znajdują, oto jest zagadka, nad której rozwiązaniem łamie sobie obecnie głowę policja powiatowa. Wraz z pasażerami zaginął też szofer.

Tajemnicza epidemja. W miejscowości Niżna Rewuca obok Kożmarku na Słowaczyźnie wybuchła pomiędzy dziećmi szkolnemi niezbadana dotychczas choroba, która objawia się częściowo paraliżem mózgu. Ze 106 uczniów zachorowało dotąd 28, jednak liczba ta stale wzrasta. Ze strony władz przedsięwzięto wszystkie kroki, by zapobiec dalszemu rozszerzaniu się tej tajemniczej epidemji.

Nieboszczyk z konieczności. Jeden z posłów do parlamentu Rzeszy niemieckiej interpelował obecnie w sprawie, która świadczy, do jakich absurdów może doprowadzić w pewnych wypadkach biurokratyzm prawniczy. Marynarz niemiecki Wothke, który zaginął bez wieści w 1907 r., w 1912 roku był uznany przez sąd w Hamburgu za nieżyjącego. Wkrótce potem rzekomy nieboszczyk pojawił się i oświadczył, że żyje, przyczem przedłożył wszelkie dokumenty, stwierdzające jego identyczność. Nic mu to jednak nie pomogło. Sąd obstawał przy swojem orzeczeniu i nie chciał uznać zmartwychwstania Wothkego. „Żywy trup", nie mogąc odzyskać sądownie swoich praw obywatelskich i majątkowych, zwrócił się do jednego z posłów z prośbą o interwencję w jego sprawie. Poseł wystosował list do sądowych władz w Hamburgu, wykazując, że Wothke żyje, płaci podatki, a zatem orzeczenie uznające go za nieboszczyka musi być jako błędne i bezpodstawne unieważnione. W odpowiedzi sąd oświadczył, że według litery obowiązującego w Niemczech prawa, Wothe musi być w dalszym ciągu nieboszczykiem, ponieważ nie wniósł w oznaczonym terminie protestu przeciwko orzeczeniu, wykleślającem go z grona żywych ludzi. Termin ten upłynął z dniem 30 czerwca 1912 roku, a teraz niema już rady. Wothke może żyć choćby dwieście lat, ale prawnie jest już nieboszczykiem.

Tragedja samotnego starca. Wzruszającą historję z codziennego życia opisuje jedno z pism, wychodzących w Lipsku. W miejscowości Colditz, w pobliżu Lipska stoi na wzgórzu wielkie więzienne zabudowanie. To dom poprawy. Starzec liczący lat 68 opuścił właśnie ten budynek po odsiedzeniu roku poprawy za drobną jakąś kradzież i włóczęgostwo. Kierownik zakładu rzekł mu przed wypuszczeniem na wolność:

— Słuchajcie, Korn, cóż z sobą poczniecie teraz?

— Pójdę — rzekł starzec — do pobliskiej wsi. Tam mieszka zamężna moja najmłodsza siostra. Tam zostanę i zacznę szukać pracy zarobkowej.

— Czy uda się wam dostać pracę? — rzekł kierownik zakładu. — W tym wieku będzie to już trudno. Ale słuchajcie, Korn! Jeśli nie powiedzie wam się, wracajcie tutaj. Mamy tu dla was wolne miejsce w naszym przytułku.

Korn udał się do swej siostry. Zataiła swe przykre zdziwienie, gdy zoczyła go na progu izby. Ale podała mu garnuszek kawy i kromkę chleba. A podczas kiedy jadł, opowiadała mu o nędzy w chałupie, o tem, jak mąż jej nie może znaleźć zarobku, że dzieci chorują i nie ma za co kupić lekarstw, ani zapłacić lekarza. Godzinę siedział tak w izbie u siostry, słuchając jej narzekania. Potem wstał, wziął swój tłumoczek w garście i rzekł:

— Wstąpiłem tylko tutaj, żeby zobaczyć, jak się miewasz.

Nie śmiał wyznać, że chciałby zostać. I odszedł. Wstępował do jednej i drugiej oberży po drodze, rozpytując o pracę. Wszędzie usłyszał to samo:

— Jesteście stary — nie do pracy wam!



Więc po kilku dniach, na wolności spędzonych, gdy wyczerpała się kwota, jaką miał (bo w domu poprawy wyplatał koszyki i zarabiał coś niecoś) wrócił znowu do więzienia i klęknąwszy rzewliwym głosem rzekł:

— Dziękuję panu, panie dyrektorze, że pozwalacie mi tu zostać.

Kiedy do izdebki, którą zajmował z trzema jeszcze towarzyszami, przyniósł dozorca wieczorną zupkę, drżącemi rękami ujął menażkę i szepnął:

— Niema tam już na świecie miejsca dla staruchów.

Fabryka kalek w Paryżu. Policji paryskiej udało się odkryć olbrzymie oszustwa, zorganizowane na wielką skalę przez pewnego lekarza na klinice prywatnej, na której ordynował. Lekarz ten pozorował przy pomocy swojej bardzo zręcznej asystentki nieszczęśliwe-

wypadki, udaremniające pracę, za które asekurowani pobierali renty lub premje asekuracyjne. Trudno określić konkretnie szkodę, jaką poniosły towarzystwa asekuracyjne, nie ulega jednak wątpliwości, że szkody te idą w miljony, ponieważ zarobki owego lekarza wynosiły conajmniej pół miljona franków rocznie. Poszkodowanych jest dwadzieścia kilka towarzystw asekuracyjnych. Od dłuższego już czasu towarzystwa asekuracyjne zawiadamiały policję o symulantach, których z dnia na dzień zwiększająca się ilość pobierała przy pomocy fałszywych atestów od lekarzy znaczne sumy, jako odszkodowania za nieszczęśliwe wypadki. Badania naprowadziły detektywów przedewszystkiem na ślad pewnego 33 letniego robotnika Legrande, który z powodu mniemanego skaleczenia ręki pobierał pod rozmaitemi nazwiskami odszkodowania równocześnie od kilku towarzystw asekuracyjnych. Wkrótce aresztowano go, jakoteż robotnika Dupas'a, który oszukiwał towarzystwa asekuracyjne pod pretekstem przestarzałego złamania przedramienia. Aresztowanie tych dwóch osób po nitce do kłębka przyczyniło się do wyświetlenia całej afery. Okazało się, że lekarz, występujący pod nazwiskiem Dra Peste, miał do pomocy w swych oszukańczych manipulacjach doskonale zorganizowany i funkcjonujący aparat, złożony z asystentki swojej, napędzaczy pacjentów i z ludzi, poddających się sztucznym okaleczeniom. Policja odkryła tę fabrykę złamań rąk i nóg, sztucznych opuchnięć i zapaleń ropnych, dokonywanych z niezwykłą zręcznością przez asystentkę lekarza i aresztowała natychmiast tak samego „fabrykanta“, jak i asystentkę, służbę i wszystkich obecnych pacjentów, chorujących jedynie na lenistwo. Afera ta wywołała olbrzymie poruszenie i zrozumiałą sensację nietylko w sferach asekuracyjnych, lecz przedewszystkiem w Izbie lekarskiej, która postanowiła przyłączyć się do oskarżenia prokuratury.

Tragiczny los inżyniera. Przed dwoma laty, podczas strajku w Puteaux, pod Paryżem, inżynier Lafosse, broniąc się przed uciekającym tłumem robotników, strzelił, zabijając robotnika Sabatiera. Sprawa była bardzo głośna, wywołała nawet szereg krwawych demonstracyj ze strony komunistów. Sąd przysięgłych uniewinnił jednak Lafosse'a, uznając, iż działał w obronie własnej i swych dzieci. Dalszy pobyt Lafosse'a we Francji stał się jednak niemożliwy. Ciągłe groźby zmusiły inżyniera do wyjazdu do Kongo, gdzie musiał na nowo rozpocząć życie. Ale tragiczne losy ciążyły snać nad Lafossem. Przed paru dniami przyszła do Paryża wiadomość, iż Lafosse utonął w rzece, rzucając się na ratunek małego murzyniątka. Własną śmiercią okupił więc mimowolne zabójstwo. Niesamowitą i budzącą dreszcz jest wszakże okoliczność, iż zarówno ojciec, jak matka nieszczęsnego inżyniera zginęli tą samą śmiercią, znajdując śmierć w Sekwanie.

Zuchwały czyn rozbójników. Włochy słynęły niegdyś z rozbójnictwa tak dalece, że wyraz włoski „banditta“, oznaczający zbója, napadającego ludzi po drogach, przeszedł do wszystkich języków świata, między innemi także do polskiego. W ostatnich dziesiątkach lat bandytyzm włoski zmniejszył się, ponieważ żandarmi tamtejsi, nazwani karabinierami, prawie zupełnie go wyplenili. Czasem jednak powtarzają się napady rozbójnicze szczególnie w południowej części Włoch, na wyspie Sycylji. Niedawno zdarzył się tam taki wypadek: Młody i bogaty wieśniak poślubił piękną dziewczynę i nazajutrz po ślubie, korzystając z niedzieli, poszli na przechadzkę. Gdy szli ścieżką skalistą nad brzegiem morza, wyskoczyło trzech ludzi ze strzelbami, jeden rzucił się na męża i przytrzymał go, dwaj inni zawiązali chustką usta młodej kobiecie i unieśli ją w dół nad brzeg morza, gdzie wsadziwszy ją na łódkę, odpłynęli. Trzeci pilnował tymczasem męża, a gdy łódka była już daleko, odszedł, zapowiadając, że niezadługo da mu znać, gdzie i ile ma złożyć jako okup za uwolnienie żony.



Nieszczęśliwy wieśniak powrócił do domu. Niestety rozpacz wieśniaka nie trwała długo. Bandyci zostali wyśledzeni. Karabinierzy udali się na miejsce, gdzie owa kobieta została ukryta, otoczyli domek i nagle wpadłszy, grożąc strzelaniem, tak przestraszyli pilnującego kobiety bandytę, że ten odrazu się poddał. Uszczęśliwieni młodzi małżonkowie padli sobie w objęcia.

Trzęsienie ziemi. Z St. Jago de Chile w Ameryce donoszą, że całą prowincję centralną nawiedziło wielkie trzęsienie ziemi, które wyrządziło olbrzymie szkody. Główny ośrodek trzęsienia znajdował się w Rengo Curico, gdzie są liczne kolonje polskie, oraz w Vicente Italco. Wedle doniesienia najwiecej ucierpiało miasto Talco, które jest prawie zupełnie zrównane z ziemią. Po wielu ulicach zostały zaledwie tylko ślady, wszędzie leżą stosy gruzów po zawalonych budynkach Dotychczas wydobyto z pod gruzów około 100 osób, lecz niewątpliwie liczba ofiar będzie większa, gdyż katastrofa zaskoczyła mieszkańców pogrążonych we śnie, a miasto liczyło 50.000 ludności. Również donoszą o wielu zabitych w mieście Curico, które ponadto zalane zostało skutkiem przerwania się tamy na rzece. Ogółem z 12 miast, nawiedzonych katastrofą trzęsienia ziemi, nadeszły wiadomości o 300 ofiarach w życiu ludzkiem, nie są to jednak jeszcze cyfry ostateczne, gdyż z kilku miejscowości brak wiadomości z powodu przerwania komunikacji. Naoczny świadek katastrofy, który z Talco przybył do St. Jago, opowiada mrożące krew w żyłach szczegóły tej strasznej nocy. Pierwszy wstrząs był najsilniejszy i trwał 7 minut. Nastąpił on w chwili, gdy ludność miasta pogrążona była we śnie. Równocześnie dały się słyszeć ogłuszające grzmoty podziemne, którym towarzyszył straszliwy huk walących się domów. Grozę powiększały panujące ciemności. Ulice zapełniły się momentalnie półnagimi ludźmi, którzy zupełnie nieprzytomni, wśród przeraźliwej paniki, nawoływali się wzajemnie, błądząc wśród kurzu i dymu. Wielu ludzi zostało trzęsieniem ziemi wyrzuconych z łóżek. Panika trwała całą noc, dopiero nad ranem nieco się uspokoiła

---

Wszyscy Czytelnicy, chcący nabyć numara „Roli“ z początkami powieści „Ślepa niewolnica“ zaczynającej się w Nr 30, mogą wszystkie te numera otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za numer w komplecie.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Augusta Wagnerówna ze Szczakowej dla Maćka 2 zł, Hanka z Podhala 1 zł., Wawrzyniec Miesiączek 60 gr.

RZECZY CIEKAWE.

Krynka zatrutego mleka

Najstraszniejszą karą w Indjach angielskich jest tak zwana „Krynka zatrutego mleka". Oczywiście nie nakładają jej Anglicy, ale indyjscy maharadżowie, którzy jeszcze dość duży zapas władzy dla siebie zachowali, a którą, chcąc nie chcąc, jeszcze Anglicy muszą uznawać. Kara to straszna, choć nie przeraża w niej sama trucizna, która działa piorunująco, ale sam sposób wykonania przy zastosowaniu tego barbarzyńskiego wyroku.

Oskarżony, skazany na wspomnianą karę, nie wie nigdy, co go ostatecznie czeka. Bo oto stawiają przed nim filiżankę mleka. Jeżeli oskarżony został uniewinniony, mleko jest niezatrute, jeżeli zaś skazany, do mleka dodano trucizny. Ale w żadnym wypadku oskarżony nic o tem nie wie, jak też nie wie nikt o tem prócz sędziów. Sędziowie ogłaszają tylko, że wyrok zapadł i że zawartość postawionej przed nim szklanki ma oskarżony po 30 minutach wypić. Dokoła stołu obok oskarżonego zasiadają milczący i obojętni sędziowie, a dalej płaczący krewni i przyjaciele skazańca. On sam napół przytomny nie odrywa oczu od straszliwej filiżanki, albo z przerażeniem spogląda na swych katów, aby z ich nieruchomych twarzy wyczytać swój los: czy mleko jest zatrute, czy nie.

Minuty płyną. Skazaniec drży, z czoła ściekają mu krople śmiertelnego potu. Co pięć minut słychać głos liczący czas. Wreszcie ostatnia minuta wybiła. Skazaniec chwyta rozpaczliwie filiżankę i wypija jej zawartość. Rozlega się rozpaczliwy krzyk krewnych i tłumu, poczem następuje śmiertelna cisza wyczekiwania. Wszyscy, jak urzeczeni, nie spuszczają oczu z podsądnego, który ze wzruszenia i strachu drży całem ciałem. Nagle nowy krzyk rozdziera powietrze: skazaniec zachwiał się, postąpił kilka kroków naprzód i nagle, jak podcięty, runął twarzą na ziemię. Tajny wyrok głosił śmierć: mleko było zatrute.

Barbarzyństwo to stosowane jest również przy masowych karach nieraz do całych wsi i osiedli zalegających na przykład w płaceniu podatków. Wówczas wkracza do wsi oddział wojska i ogłasza karę „krynki mleka". Wieś otrzymuje nakaz wybrania w ciągu trzech dni tylu a tylu mężczyzn i kobiet w wieku 20 do 40 lat i przyprowadzenia ich na oznaczone miejsce. W oznaczonym dniu skazani ustawieni zostają w dwa rzędy: oddzielnie mężczyźni, oddzielnie kobiety. Obok każdej ofiary stawiają dwa kubki mleka, z których jeden jest zatruty. I znowu powtarza się straszna scena oczekiwania. Skazanych obsypują kwiatami. Tłum błaga urzędników pilnujących wykonania wyroku o miłosierdzie. Minuty płyną. Śmiertelna trwoga przebija się przez oblicza tak skazanych, jak i widzów. Ostatnie trzy minuty!... Mężczyźni w konwulsjach padają na ziemię, kobiety mdleją.

— Pijcie bracia i siostry! — rozlega się nagle spokojny głos i jedna ze skazanych podnosi śmiertelną czaszę.

Ostatnia minuta.

— Pijmy! — woła ktoś i wówczas dzieje się rzecz straszna. Z pośród tłumu zasądzonych coraz pada ktoś na ziemię. Ludzie z trupio białemi twarzami patrzą w jakiś daleki punkt, oczekując śmierci. Z krzykami rozpaczy mieszają się okrzyki radości: to krewni tych, którym los podsunął niezatruty kubek, wyrażają z tego powodu swą radość.

Sprawiedliwości stało się zadość. Żywi odchodzą rozradowani sami, trupy wynoszą żołnierze, którzy pilnowali wykonania wyroku.

Dowcipny rachunek.

W Anglij w przeszłym miesiącu zdarzył się ciekawy wypadek. W pewnem mieście angielskiem do krawca przyszedł pewien klient i rozpoczął następujący djalog:

„Miałem przed chwilą rozmowę z moją żoną, w czasie której wynikło małe nieporozumienie między nami. Czy nie zechciałby pan udzielić mi swojej rady?" — „Bardzo chętnie", odpowiedział krawiec. „O cóż to posprzeczaliście się państwo?" — „Widzi pan przed chwilą rozmawiając z żoną, powiedziałem jej, że idę do pana, aby mój rachunek uregulować. Przecież to było zupełnie słuszne — nieprawda?!" — „Ależ naturalnie, odpowiedział ucieszony krawiec. „Czyż pańska małżonka uważała to za niesłuszne". — „Ach, nie; tylko ona twierdziła, żem powinien był powiedzieć, że chcę pański rachunek uregulować". — „Hm, tak" przytaknął krawiec — właśnie i to, jak i tamto jest słuszne. To jest i pański i mój rachunek". — „Czyli, że wyraźniej powiedziawszy, jest to nasz rachunek — nieprawdaż?!" — pytał klient dalej. „Ależ tak, tak!" — odpowiada zniecierpliwiony krawiec, którego już ten djalog zaczął nudzić, „bezsprzecznie pan ma rację, to jest nasz rachunek". — „Znakomicie! Jestem szczerze zadowolony" — odrzekł klient z uśmiechem. „A więc zgadzamy się w zupełności. To jest nasz rachunek. Suma rachunku wynosi osiem funtów. Wobec tego płacę panu połowę, t. zn. moją część czyli cztery funty" poczem wyszedł z zakładu.

Mistrz krawiecki był tak zdumiony tem co zaszło, że długo jeszcze stał z czterema funtami w ręku, nie mogąc przyjść do słowa, pomimo, iż klient dawno był za drzwiami magazynu.

Kocham!!

Jeden z dziennikarzy francuskich wiele włóczący się po świecie, wyuczył się i zebrał słowo „kocham" w dwudziestu sześciu językach.

Podajemy ten oryginalny wykaz.

A więc brzmi ono, w: hiszpańskim, portugalskim i włoskim — amo; w rumuńskim — eu jubsec; angielskim — I love; rosyjskim — lubu; holenderskim — iu maak; niemieckim — ich liebe; francuskim — j'aime; duńskim — jag alskar; polskim — kocham; węgierskim — varok; tureckim — sereyorum; greckim — aghapo; bretońskim — karan; baskijskim — maitatzendet; arabskim (narzecze algierskie) — nehabb; arabskim (narzecze egipskie) — nefal; perskim — dustdarem; armeńskim — gesirem; hindostańskim — main bolta; kambodżyjskim — khudom stelaud; anamickim — taj tu'ong; chińskim — ono hihuan; japońskim — watakusi wa suki masu; malajskim — sahya suka.

Teraz nasi czytelnicy będą mogli oświadczyć się we wszystkich krajach, o ile sobie zdołają słowo „kocham" zapamiętać we wszystkich językach.

Z okazji zbliżania się Nowego Roku prosimy wszystkich Czytelników o jednanie nam nowych Prenumeratorów, abyśmy „Rolę" coraz bardziej doskonalili. Numera okazowe pod wskazanymi adresami wyślemy.

KALENDARZ KÓŁEK ROLNICZYCH.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego w Krakowie, plac Szczepański 8, wyszedł z druku „KALENDARZ KÓŁEK ROLNICZYCH na ROK 1929“. Piękne to wydawnictwo, wzorowane na Kalendarzu przedwojennym z roku 1914, w trójbarwnej artystycznej okładce, przewyższa swym zewnętrznym wyglądem inne tego rodzaju wydawnictwa. W parze z szatą zewnętrzną idzie też doborowa treść, na którą składa się bardzo interesujący dział powieściowy, następnie obszerny dział rolniczy z 15-tu artykułami, pisanemi specjalnie dla tego Kalendarza przez znanych fachowców, z różnych dziedzin rolnictwa i spółdzielczości, nadto dział informacyj rolniczych, zawierający wiadomości niezbędne dla każdego rolnika, wreszcie dział wiadomości ciekawych i pożytecznych, oraz wykaz targów i jarmarków w Małopolsce. Całość na 416 stronach ozdobiona 138 ilustracjami stanowi książkę, która znaleźć się powinna w rękach każdego postępowego rolnika, jakoteż zdobić powinna każdą bibljotekę, tembardziej, że cena jest bardzo przystępna. *W. W.*

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Leopold Sanner** w N. T.: Owszem odpowiedzieliśmy Panu w numerze 49 „Roli“. — **Franciszek J. Tryszczyła** w K.: Nadesłane artykuły wszystkie dobre i wszystkie zamieścimy. Dzięki. — **Wł. Sowiźrał:** Nie do druku, gdyż opowiadanie to ogromnie pogmatwane. Nie wiadomo, gdzie się zaczyna opis zdarzeń, a gdzie rozmowa działających osób; wszystkiego trzeba się dopiero domyślać. Czytelnik musi mieć wszystko podane porządnie, gdyż na rozwiązywanie zagadek nie ma czasu. — **Ben Chorin** w K.: Dzieje biednego Janka bardzo smutne, ale opowiedziane zbyt rozwlekle, więc zajęłyby nam dużo miejsca. Na przyszłość prosimy pisać po jednej stronie papieru. — **Mikołaj Mazur** w B.: Wiersza „W rekruty“ nie drukowaliśmy. Żądane numera zachowamy. — **Jan Mazurkiewicz** w W.: „Skamieniała pasterka“ przeznaczona do druku. Niestety, honorarjum żadnego płacić nie możemy, gdyż nas na to nie stać. O ile ktoś bezinteresownie utwory swe nadsyła, a zasługują na druk, chętnie je drukujemy, gdyż tym sposobem chcemy dać sposobność ludziom dobrej woli współpracy dla dobra społeczeństwa. — **Ujbo Teodorek:** Czemu pseudonim, a nie pełne nazwisko, kiedy wiersz zupełnie dobry? Forma całkiem poprawna, a myśl głęboka. Prosimy o więcej. — **Franciszek Śmigielski** w P.: Szarada całkiem dobra. Czy własnego układu? Jeeżli tak, to pogratulować. — **Maryna Wereda** w K.: Kaśka liścik przeczytała z prawdziwą przyjemnością tembardziej, że, jak powiada, wszyscy o Maćku myślą, a o niej nikt. Że rzadko w „Roli“ gada, to nic dziwnego, przecież mężczyźni „Rolę“ wydają i redagują, to nie chcą kobiety do głosu dopuścić, żeby im prawdy nie wyrąbała“. Takie to już czasy i tacy ludzie! — **Franciszek Macioł** w S.: Zagadki otrzymaliśmy i będziemy starali się zamieszczać je kolejno, gdyż są dobre. — **Władysław Bulek:** Wierszyk dobry, ale nieco spóźniony, gdyż już zima w całej pełni; schowamy go na później. — **Jan Gara** w W.: Szarady dobre. — **Stanisława Kozakówna** w L.: Życzymy szczęścia w nowem życiu. Broń Boże! Nie jesteśmy przeciwnikami małżeństwa, owszem wiemy, że może ono być piękne, ale będzie piękne tylko wtedy, gdy dwa charaktery dobiorą się i dostosują do siebie pod każdym względem. Najważniejszą jednak rzeczą w pożyciu ze sobą dwojga ludzi to są wzajemne ustępstwa. Nie trzeba nigdy wad umiłowanej osoby wyolbrzymiać, a milczeniem pokrywać zalet. Trzeba przymykać oczy na słabostki ludzkie, gdyż zbyt częste wytykanie ich może sprowadzić rozdźwięk, którego później nic nie naprawi. Czasem mały drobiazg staje się tą lawiną, która zdruzgoce całe życie. — **Karol Pec** w D.: Ogromnie się cieszymy, że „Rola“ dociera w najodleglejsze okolice naszej Ojczyzny i ma tam takie wzięcie. Za tak skuteczne popieranie naszych usiłowań jesteśmy serdecznie wdzięczni. — **„Ciekawy“** w Ch.: W tej sprawie niech się Pan zwróci do Banku Małopolskiego, Kraków, Rynek gł. 25, a informacyj udzielą. Jeżeli Pan nie korzystał ze subskrypcyj, to straty Pan poniósł wielkie. Przypuszczam, że Bank Małopolski Panu to wyjaśni. — **Wojciech Chromicz** w St.: Na prenumeratę do końca roku brak 1 zł. 80 gr. Wzajemnie pozdrawiamy. — **Piotr Wenc** w Ś.: Czy Pan będzie brał okładkę lub kalendarz, bo chcielibyśmy razem z nagrodą przesłać przesyłką poleconą. — **Andrzej Węgliński** z B.: Wszystkim podanym numera z czekami wysłaliśmy — dziękujemy i prosimy nadal o pamięć. Również dziękujemy za pozdrowienia i życzenia i pozdrawiamy wzajemnie.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Jan Gara z W.).

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Służy do pisania.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyrząd rozrywkowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ozdoba.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Są na świecie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Uroczystość.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Dogl władca Francji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.

Początkowe litery czytane poziomo i pionowo utworzą nazwę malowniczego miasta w Polsce.

2. Szarady kalambury.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki z S.).

I.

O, piąte drugie! kiedyśmy się zeszli,
To się napijmy! — powiada chłop ze wsi,
Bo mi jakiś trzeci po ciele przechodzi,
Potem ciepło pierwsze drugie przychodzi.
Czwarte ósme... miałem wam powiedzieć,
Rzekł szóste sąsiad, nie chcąc dłużej siedzieć.
Moja baba pięć dziewięć sprzedawać dziś miała,
Co przez siedem osiem na sprzedaż chowała.
Wyszli na pole. I wpośród ludności
Przejechał cały, a miał pół całości.

II.

Dziś u Tomka jest wesele,
Gości się tam zeszło wiele,
Gra muzyka, tańczą wkoło
Piąty szósty, tak wesoło...
Czwarty piąty, ten, co kuje,
Dość wesoło podskakuje,
Pierwszy zgodny do muzyki —
Słychać śpiewki, śmiechy, krzyki.
Nawet żydówka, dwa trzecie
Tańczy dzisiaj tam zawzięcie.
Całość nie może tańcować,
Bo musi „Rolę“ drukować.

3. Zagadka rachunkowa.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Było razem ludzi i koni 43, Ile było ludzi a ile koni, gdy wszystkich nóg było razem 138. Ile było ludzi na koniach a ile pieszo, jeżeli na ziemi stało nóg 54?

4. Zagadki.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.)

I.

Wprost stoi w miejscu, nie widzi, ni słyszy,
Wstecz biego zwinnie, nawet łapie myszy.

II.

Wprost idziesz nań z pieniądzmi, by co trzeba kupić,
Wstecz, to sprzęt niepotrzebny warto go wyrzucić.

5. Łamigłówka.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

■ ☆ ☆ a = zgoda.
■ ☆ ☆ a = pole.
■ ☆ ☆ a = grecka litera
■ ☆ ☆ a = imię żeńskie.
■ ☆ ☆ a = szkło powiększające.
■ ☆ ☆ a = fala w języku martw.
■ ☆ ☆ a = libacja.
■ ☆ ☆ a = zdrob. imię żeńskie.
■ ☆ ☆ a = zwierzę amerykańskie.
■ ☆ ☆ a = moc.
■ ☆ ☆ a = napój.
■ ☆ ☆ a = dokumenta.

W miejsce kwadratów i gwiazdek powstawiać odpowiednio litery a te utworzą 12 wyrazów, kończących się na „a“. Początkowe zaś litery, czytane z góry na dół, dadzą ważny moment historyczny w Polsce.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 21 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 49 „Roli“: 1. Logogryf: Tyberjusz-Karakalla. 2. Szarady: I. Pajęczyna. II. Powinowaty. III. Potop. IV. Makarony. V. Pazury. 3. Ustawianka: Alfabet-półka-obraz-szyba-Linc-pasta-marynaty.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Piotr Wenc z S., Jan Gara z W., Józef Kapuściński z L. (wierszem) i I. Zajączkowski z S.

Nagrody wylosowali pp.: J. Kapuściński z L. i Piotr Wenc z S.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Wielki Ilustrowany Kalendarz Powszechny

jest już do nabycia w Administracji „Roli“. Cena z przesyłką pocztową **2 zł. 95 gr.**

Szybka odpowiedź.

— Znowu nowy kapelusz! Bój się Boga, kobieto, dokąd zajdziemy! ,

— Do wujostwa, na obiad, a potem do teatru.



W salonie.

Żona: Więc pan się nigdy nie ożenisz, poruczniku?...

Porucznik: Nigdy! łaskawa pani!

Mąż (przewidująco): Mnie się zdaje, iż pan jesteś tak zaciekłym wrogiem małżeństwa, że nawet już istniejące burzysz...



Małżeństwo dla pieniędzy, to jak udawanie się do gniazda ós po miód.

Podczas obiadu w hotelu podają do stołu półmisek rzodkiewek. Jeden z gości, Anglik, zgarnia wszystkie rzodkiewki z półmiska na swój talerz i zabiera się do jedzenia.

Jeden z sąsiadów zwraca się do niego i mówi: Panie! My też lubimy rzodkiewki.

— Ale nie tak, jak ja — odpowiada spokojnie Anglik.

Kapral krzyczy: Jednoroczny, czego pan się rusza, gdy ja komenderuję „Baczność?“

Jednoroczny: Pan kapral przecież też nie stoi spokojnie! Jeżeli panu wolno...

Kapral w złości: Jeżeli jednoroczny myśli, że jest to samo, co ja, to jest wielki osioł.

Na lekcji geografji.

Nauczyciel: Muchołapski! Powiedz mi, jak długo się leci aeroplanem do Ameryki?

Uczeń: Dopóki nie wpadnie się do morza.

Rocznik „Roli“ z roku 1927 zawierający 19 powieści: „Tajemnica na dworze królewskim“, „Podróż naokoło świata, „Dziwy w świecie“, „Przygody Filipa“, „W szpitalnej celi“, „Dziwne sny“, „Zwiastunka śmierci“, „Wśród puszcz i stepów“, „Matka królów“, „Wawrzek Dybczak“, „Walkowa dola“, „Zemsta Judyty“, „Ucieczka Archanioła“, „Pomszczona zbrodnia“, „Staw św. Małgorzaty“, „Było to pod Jeną...“, „Abraham Pinkt i Mateusz Sikora“, „Baśń o Sobotniej Górze“, „Wskrzeszenie Łazarza“.

Wiele z powyższych powieści jest ozdobionych pięknemi ilustracjami.

W każdym numerze opowiadanie Maćka Bzdury, nadto wiele powiastek, gawęd, legend humoresek. Prócz tego kronika krajowa i zagraniczna ilustrowana. Na okładkach humor

Całość rocznika obejmuje 1.040 stron a kosztuje wraz z przesyłką pocztową **tylko 9 zł. 50 gr.**

Wapno bardzo dobre do budowy, jakoteż do bielenia można nabyć u Firmy

Stanisław Zółkiewicz i Ska

W CZUDCU

Fabryka Wapna, Cegieł i Wyrobów Betonowych

Mam do sprzedania

2 Aparaty fotograficzne

Józef Szwaja (organista) **w Wólce niedzwiedzkiej poczta Sokołów k) Rzeszowa.**

Poszukuję mieszkania w Krakowie dla małżeństwa bezdzietnego, jeden większy pokój z piecem kuchennym lub bez pieca. Zgłoszenia: Kraków, ul. A. Potockiego 11, Roman Sułowski (sutereny).

Giełda płodów rolniczych

z dnia 8 grudnia b. r.

Pszenica .	48·00—49·50	Słoma długa	10·00—12·00
Żyto .	35·50—36·00	Ziemniaki stoł.	8·00— 9·00
Owies . .	34·50—35·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	33·00—34·00		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	50·00—50·50
Groch zwyk.	58·00—60·00	Mąka pszen.	74·00—75·00
Siano słodk.	26·00—28·00	Otręby pszen.	28·00—28·50
Koniczpastew.	33·00—36·00	Mąka czerw.	33·00—34·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Kalendarze są już do nabycia w Administr. „Roli“.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 8 grudnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·00 do 1·60 zł.	Jałownik	od 0·95 do 1·50 zł.
Woły . .	od 1·03 do 1·55 zł.	Cielęta .	od 1·46 do 2·03 zł.
Krowy .	od 0·71 do 1·25 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·05 do 2·36 zł.	Nierogaciznę bitej wag.	od 2·75 do 3.00

Miód lipcowy

leczniczy, czysto-pszczelny pod gwarancją w blaszankach 5 kg. 16·80 zł, 10 kg. 31·60 zł, 20 kg. 60 zł wraz z blaszanką i opłatą pocztową wysyła wprost z własnych pasiek za zaliczeniem poczt. katolicka firma: **„Patoka“** Kupczyńce, poczta Denysów, wojew. Tarnopol.



Instrumenta

MUZYCZNE

dęte i smyczkowe oraz części zapasowe do tychże. – Stare instrumenta naprawia, zestraja lub wymienia na nowe

J. A. NIKIEL

Kraków, Szewska 2.

Wszelkiej porady przy zakładaniu i kompletowaniu zespołów orkiestralnych udziela bezpłatnie, za nadesłaniem znaczka pocztowego.

Przyjmę chłopca do terminu.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.

Sprzedaż częściowa i hurtowna.

Cenniki na żądanie.

Uwaga na dokładny adres.

Numera zaległe można nabywać w Administracji „Roli“ za nadesłaniem 30 gr. za numer. Można też nadsyłać znaczkami poczt. w liście.

Wyszły z druku dwa zbiorki poezyj Donata Lesiowskiego p. t.

„PŁOMYKI“ i „ISKIERKI“

Cena zbiorku 50 groszy. Do nabycia w Administ. Roli.

Już wyszedł z druku nakładem

Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego

w Krakowie

Kalendarz Kółek Rolniczych

na rok 1929

wzorowany na przedwojennym z roku 1914.

Artystyczna kolorowa okładka. Ponad 400 stron druku. 138 ilustracyj. Dział powieściowy, rolniczy. Wiadomości ciekawe i pożyteczne. Taryfy. Informacje. Zestawienia gospodarcze. Targi i jarmarki.

Cena: z przesyłką pocztową zwykłą 2.90 zł. poleconą 3.30 zł. za zaliczką 3.60 zł.

Zamawiający 10 sztuk nie płacą porto. Przy zamówieniach od 30 egz. wzwyż odpowiedni rabat.

Zamówienia przyjmuje:

Małopolskie Towarzystwo Rolnicze

Kraków, plac Szczepański 8.

Aleksander Wnękowski

Introligatornia

Kraków, ul. św. Sebastjana L. 11.

oprawia książki pojedynczo i w większych nakładach, wykonuje starannie, po cenach niskich.

Nie marnować owocu!

Wspaniałe

Wina domowe

sporządzamy z każdego owocu i jagody (nawet zboża), n. p. **Tokaj, Malagę, reńskie stołowe i t. p.**

Dokładny podręcznik przesyłam za 80 gr. w znaczkach pocztowych.

Cenniczek i krótki opis wyrobu win zadarmo.

M. Pradel, Kraków, Grodzka L. 2.

(tamże rurki ferm., prasy, gąsiory i t. d.).